

BIANKA ROLANDO

Piekło

BIANKA ROLANDO

Piekło

*Pieśń pierwsza. Pieśń przekreślona*¹

Przekreślam się na początku i linie przecinają mnie
Przekreślam wszystko, nie wybieram jasnej czystości
liter jasnych między rytmiką nad linią, tylko je ścinam
na wieczną pamiątkę nieczytelności i nieważności
Linie jak wykres kłamstwa — prawdy przekreślają mnie
Zagrzebana w błocie, uduszona plwocinami, laudacjami
do fałszywych proroków ze słoniny, ze złota, drewna
namaszczone bez odpowiednich procedur i pieśni
olejami zbeszczeszczanymi i gestami udawania, grają
dla mnie, bawią mnie w moim ogrodzie odrzuconym
Oto Jestem, nie dla ciebie boże, teraz nie szukaj mnie
Oto jestem, zagrzebana głęboko w sobie niegotowa
niechętna na konfrontację z tym, co jest litościwy zbyt
Przecinam wyrzuty sumienia, żale zasmarkane
Skomlę, przeczuwając rozstrzygnięcie i pochód śmierci
Ja pies jej, syty-zyr, obwieszczam swym gardłem piekło
potępienie wieczne dla wielu czarnoustnych wśród nas
Znam wszelkie prawdy nieobjawione i apokryficzne
Historie cynicznie wymyślam, paląc papierosy z liści
z drzew prawdy, okolicznych jemu złączonych korzeniami
Nieobrzezana jestem i zresztą już za późno, za późno
na te ceremonie poświęcenia przerośniętego, nienowego
Jak pisać o piekle, co jest bardziej niż cokolwiek we mnie
Redzie je schować i je ukarać za to, że ciągle jest tutaj?
Nic nie zgniecie nas na czyścicowy proszek sprzedawany
w porcjach, w torebkach plastikowych za 30 srebrnych
skrytych przed rodziną i znajomymi z najbliższej parafii
Wymyślam sobie swoje bóstwo bałwochwalcze ciągle
Ja na szczycie Mont Blanc czy górze gówna wie czego
Jednak wysoko stoję objawiona sobie, promieniuję
Wywyższam się ponad horyzonty, gwiazdy gniotę
Wszystko gniotę moimi połączanymi nogami i ogonami
te kruche, niewiadome byty liche, proste, dobre
przekreślam je, by przekreślić ostatecznie siebie też
Milionami skreśleń stapiam wszystko dookoła mnie
Niech świat wraz ze mną cierni i zdechnie w ukryciu
Długie me szaty, brzęczące, zaprojektowane dla tyranii
zżerającej wszystko, nawet siebie z głodu ciągłego
Odrzuć mnie i skreśl, teraz jest dobry moment na to
Spróbuj rozcieńczyć mój grzech wbrew mej woli, wołę

¹*Pieśń przekreślona* — w druku cała strona przekreślona jest skośną kreską. [przypis edytorski]

jak jego kształt zamieszkujący we mnie poszerza się
Niech więc linie przekreślające mnie będą tłuste i łakome
Szpetne pieśni szepczę, odrzucając inne w nad nad miarach
Niewłaściwe pieśni na niedziele pańskie, na święta kościelne
Skreślaj mnie, skreślaj, a ja i tak będę trwała pod spodem
na znak przeciwko miłosnym piosenkom, modlitwom
nawet za cenę mojego pomnika, co zostanie strącony
bo sezon skończył się na mój charakter bóstwa i na imię
Pokreślone mam rysy twarzy, lecz nie jestem twą maryjką
choć czarną, najczarniejszą wśród wszystkich kobiet
Na dachach świata siedzę, niszczę pieśni święte
Obcinając im głowy, ręce, łamię śpiewających
Przekreślam wszystko, nie ucieknie mi żadne słowo
Zatrzymam ich słodkie poloty kontekstu i zniweczę
Przekujcie aureole święte, co mogły kiedyś być na mnie
te, które w moim rozmiarze, przekujcie na naszyjniki
dla mnie na wernisaże i spotkania autorskie w piekle
na które już teraz wszystkich serdecznie zapraszam
Przekreśl mnie teraz, proszę, i uczynń nieczytelną
niech me słowa pisane w zmęczeniu i uniesieniu
zostaną precyzyjnie zmazane na wieki przewlekle
Powołani do skreśleń i potępień, wystąpcie teraz
Niezmierzona czerń tablicy, po której kredą mażę
znaki ochronne, znaki ucieczki, ukrycia gdzieś tu
niewielu się uchroniło przedostatnią litością
Są tacy, którym się to udało i skreślili się z listy
Na liście nieobecności teraz tak bardzo są obecni
w niwecz się nie obracają, nie zapominają się
Najmniejsze skupienie wszystkiego złego
Zatykam swe usta w pieśni przekreślone
pieśni skurczliwości do środka własnego
ściśnięcia i zmiżdżenia doszczętnego
Patrz, jak się boję, wkładam tyle do buzi\
Nie rozczytasz mnie w myleniu się moim
pokusa pozostaje, to przebicie dla oczu
będzie przedzierać się do czytelności mozolnie\
Czarne wersy nadciągają w szyku osobliwym
Boję się tego, jak zakradają się armią na mnie
Przekreślam te judaszowe pianie wyleniałych
Zagęszczam się w swych bluznierstwach mocniej
wykrzykiwanych w dorner kebabach o świcie
w kierunku wschodzących zewsząd księżyców
stękających z każdą minutą przedzierania się
przez ciemność oczu skulonych i zawiedzionych
Lubię śpiewać te pieśni odrzucone przez siebie
nieudane, skazane na to, by się kotłowały w byciu
nieważne, zbite w kartki, zmięte do środka truchleją

Czemu więc tak potrząsasz biodrami w moim kierunku
marcepanowy wrogu w przeczeniach wykrywany
czemu?

Pieśń druga. Zmierzchy bogów naszych

Nasze wielkie procesje nadciągają burzą
miodnych i szaleńczych mów na naszą cześć
Powiewają nasze sztandary mnogie, tkane
Sztyletujemy krawędziami naszych języków
Zabijmy tych, rzucających w nas jabłkami
z mostów rozpostartych nad naszymi przejściami
Jesteśmy Bogami zabierającymi ciągle dla siebie
tylko dla naszych czarownych przydomków
one wywoływać mają strach i ukrycie
Otoczeni dziećmi, kobietami w bukietach
oddają swe lenna w nasze kosze i kufry
Zabieramy im wszystko jednym gestem ręki
Podcinają nasze kryształowe koturny wysokie
a my ściskając pięści, odchodzimy, grożąc temu
który niby-wszechmocny i nie zgwałci nas kolorem
taki niby-wszechmocny i nie zabarwi nas kolorem
Nasze pięści zwinięte w siebie przechowują
groźby, nienawiść do wszystkiego, do Niego
Nasze armie już szykują się zdobyć jego terytoria
Siła nasza ogromna, zabierająca wszystko w tajemnicy
Niech on przyjdzie, składając nam pokłony na dywanach
przenośnych, składanych, które wędrują wraz z nami
Rozrzucamy kości zamiast kwiatów przed antyhostią
Piszemy Tylko Wielkimi Literami Te Zdania Nadrzędne
zgniecione zostaną wraz z nami w pyły alergiczne
rozpadają się w naszych, kwaśnych, cytrusowych rękach

Mordercy prasują nam koszule wyjściowe na noc
Oglądamy się za diabelnym, zmierzającym do nas
Poi nas z niezwykle regularnością i troską
trzy razy w ciągu dnia, drobną łyżką podaje nam mannę
Kasza pozyskiwana z odwróconego procesu utylizacji
z buraków pastewnych, kradzionych i ukrywanych
Nasze wieczne panowanie, gdzie są zasłony gęste
opadają one głęboko, marszcząc się, dają mrok
chronią nas przed dziwnym widokiem na urwisko
Powoli zmierzcha nasz zewnętrzny blask okrutny
zewnętrzza błyszczące, strachliwe, zadające śmierć
Oto idziemy, krwawymi bóstwami nazwani na zawsze
Złoto i wyrwana kość strojna dodaje nam jeszcze blasku
Oto zdychamy w promieniach wschodzącego, nowego
nie umiemy śpiewać dla niego, nie nasze głosy
Nasz chór odrzucony, każdy z nas ma głos pierwszy
nie możemy znieść hegemonii zmiażdżonych nas w nas
Pokazy mody królewskiej kończą się w porze happy hours
Wszystko miało zdychać, nie wzdychać już nigdy więcej
Uczynimy więc krzywdę słodką, porzucimy dobre zamiary
Nie do zniesienia jest dla nas bóstwo miękkie i głębokie
W nasze żelazne konstrukcje nie wleje się już nic
Wielkie oddzielenia, granice naszej kumulacji pełnej
Nasze naoliwione policzki chudną ze strachu i paniki

przed naszymi sąsiadami, co mają podobne zamiary
Chcą nas pozbawić tronów, komnat bursztynowych
Nasze usta malinowe wysychają z braku ducha w nas
on dodawał nam kusicielskiego piękna, o które się walczy
chronił nas przez całe nasze królowanie w pozłocie
Wessani w sobie przypominamy sobie naszą wielkość
Dekoracyjne formy językowe, muzyczne wiążą nas
Okazało się, że zaprawdę jesteśmy nieśmiertelni
czego skrycie się obawialiśmy, unosząc ostatni dech
w kierunku ścisku, milczenia i zła
podobnego najbardziej do koloru naszych skór zamszowych
które boskim zabiegom pielęgnacyjnym były poddawane
gdzieś w krainach żurawiny suszonej, zgnilizny i zmierzchu

Pieśń trzecia Bruna storia

Trzecia pozostałość po rozstrzygnięciu
po próbach ognia, wody i pryzmatu
upadła najgłębiej w siebie, w obłąd
z którego nie ma wyjścia ewakuacyjnego
choć wejść była mnogość zachęcająca
Jestem częścią odrzucającą obłubieńca
Trzepotał on swoimi rżęsami w moją stronę
z frędzlami, z jasnym uwielbieniem k'mnie
Jego obietnice szeptane niech porwą zwierzęta
stwory leśne, które lubią te słoniny na patykach
Mając je w pyskach, obserwowały mój rozprysk
Odrzuciło mnie daleko od niego, w norę
krecią dziuplę szalonego, ślepego posuwania się
tylko naprzód, bez zawracania i odwracania się
Tony ziemi zakrywają moje górnicze szczebioty
w nieodkrytych do tej pory głębinach gnilnych
Upojona denaturatem filtrowanym przez watę
z trupią czaszką na okładce objawiam się wam
nieprzenajświętsza, nieprzenajświętszy mój śmiech
Chciałbyś może, abym była dziewicą waleczną
konającą w imię boga milczącego za chmurkami
które maluje chaos i przypadek zmyślnie złośliwy?
Wolę być Bruną, z jej ust para zimna ucieka
w wielkie przestrzenie ciepła, miękkości waszej
Gdy cesarstwo kwitło girlandami, krwią krzepliwą
byłam nałożnicą rzymskich cesarzowych i cesarzy
Głaskali swe tygrysy po głowach, głaskali mnie
Miałam wielką władzę panowania, zabijania
Władam wielkimi tronami, potęgami, armiami
Mordowałam swe służki wdzięczne, nieśmiałe
Trucizny kwieciste w sprayach rozpylanych
W me łoże wsiąkały coraz to nowsze smaki i soki
Mój kielich ciągle był nadpity mimo przepełnienia
Wymyślałam krwawe uczty, gdzie mordowano dziewice
niewolnicy ginęli podczas hucznych, gwiazdzistych nocy
Osobiście ich biczowałam, doprowadzałam do ujadania
Osobiście, z zaangażowaniem obłądnym biłam jaśminy
Wbijałam ich miękkie ciała w glebę, w marmur

a wtedy kosmyki włosów uciekały mi spod koka
Me jedwabne tuniki czerwonymi wzorami okrywały się
Tak wygląda Maxima-Optima, Szalona zwana Wielką
Ssij mnie mocno, truj się mym sokiem cierpkim
z bzu czarnego i nasion odrzuconych za gorycz
Panny składane mi w comiesięcznych ofiarach
bym była łaskawa dla ich miast dopiero utkanych
W najczarniejszych arkadach przechodziłam, tupiąc
niszcząc, gwałcąc wszystkie porządki zastane
doryckie, korynckie i porządki jońskie też
Nokturnowe szaleństwa do wczesnych godzin
z bufiastymi sukniemi, z poduszkami w ramionach
Bym się zdała bardziej bóstwem, co nienawidzą go
Oskarżana przez kuzynów, synów za spółkowanie
z literami przekrzywionymi i z przecinkami w nocy
Dowodami na to miały być kosze martwych maślaków
z którymi powracałam jako morderczyni skryta
Chcieli mnie ująć za zbrodnie i zaszytletować
ale moje gniewne, czarne spojrzenie spod czoła
prześwietlało ich spiski na moje ciało i władzę
zatrąwszy ich, cały świat zatrąwając, patrzyłam
patrzyłam na agonię pełni i tej niby-nieśmiertelności
młodzieży, kwiatów, małych pieszków, owadów
Te ramiona zgarniały wszystko dla siebie, dla mnie
Stałam się prawie legendą, żmijową panią ptaków
choć ma postura wykluczała aż takie okrucieństwo
Oleje wylewane pod me stopy, ścierane włosami
Popelniali samobójstwa przy białych winach
oni opiewający nieskończone, niedokończone

A ja chichotałam, patrząc, jak zdycha świat
piszczący i wznoszący ostatnie spojrzenia po litość
Na mych pobielonych pudrem dłoniach zdychasz
Teraz ty zdychasz

Pieśń czwarta. Winna śmierć

Sącząc z gąbki prawie octowe wino, leżakowałam
Z bólem krzyża wylegiwałam się na skórkach
szukając kolejnych ofiar mych kaprysów lata
wśród pięknego i młodego korowodu blondynów
Oto byli z prawej, lewej strony piękni *phoibosi*
grali jakieś stare, wierszowane pieśni z lutniami
Myślałam, jak rytmicznie wybijam im te nutki z ust
Czy jako bezzębni będą tak samo umuzykalnieni?
Uśmiechałam się do siebie, obmyślałam plan śmierci
wtedy podeszła do mnie półnaga piękność z owocami
czarownie pachniała nienawiścią, nierozpoznaniem
Oj, te panny malowane, oj, te panny szykownie roztrzaskane
Zdziwiona tą odwagą zmieszałam się jej obecnością
Zmieszany kielich powrócił do ust, niosąc ze sobą truciznę
Pijąc winną przynętę, poczułam się senna i zmieniona
Krzyknęłam z nagłego bólu, rozrywającego mnie w środku
Wiedziałam, że zostałam otruta, krzyczałam o pomoc
Nikt z uczujących nie przerywał biesiadowania śpiewnego

Na ich posągowych, marmurowych twarzach trwała cisza
z wolna dostrzegłam jednak delikatne uśmiechy rysujące się
Wybiegłam na korytarz i leżałam jak skulona ślimaczycza
plując siebie wokół, zsikując się z bolesti przygodnej
Tak odchodzi bogini wraz ze swym postumentem na kołach
Winna trucizna zdobywała mnie w licznych żołądkach
cięła mnie na fragmenty, toczyła eksplozjami mą biel
urojoną i wymyśloną na potrzeby wizerunku wykutego
W ciągu jednego momentu mój chłodny oddech spadł
Oczy wytrzeszczyłam w marszczący się mrok czyhający

Wtedy poczułam do siebie nieprawdopodobny wstręt
Szept dziwny nie do zniesienia, przekrzykiwałam go
Całym swoim wściekłym rykiem królowej zagłuszyć go
Tylko to odezwało się we mnie, wielki mój wrzask
Odsunęłam się sama tam, gdzie najdalej, gdzie nie słyhać
nic prócz mego głosu królującego nad śmiercią i nad łaską
którą odrzuciłam na wieczność od siebie, w przepaście kredowe
Ściąganie do punktu najmniejszego, prawie niewidocznego
Myślałam, że się rozpadnę, zniknę w jakichś śmietanach nagle
Tak bardzo byłam, za mocno trwało we mnie coś twardego
Zza moimi plecami, gdy odchodziłam, słyszałam lamenty
Głosy z dala wzywały jeszcze Brunę rozczochraną
zamieniły się z czasem w przedziwną odwrotność
Patrzcie, jak nadchodzę, najpiękniejsza

Pieśń piąta. Pieśń odchodzenia do Piekieł

W tył zwrot, naprzód w siebie maszeruj
Butami rozdzierającymi, kowalskimi szuranie
Pozostawiając po sobie ślady w błotach
Odchodząc w dale powłóczystym krokiem
Nie chcę już twoich ud i ciepłego brzucha
Patrz za mną, na to ci pozwalam ostatni raz
na patrzanie, jak się odchodzi od ciebie
Me wdzięki uciekają, ale ma wola silna
Nie zobaczysz już nigdy mej twarzy i oczu
Nie będziesz liczył mych oddechów, jak śpię
Nie wkradniesz się we włosy w postaci wiatru
Nie dam ci się wymacać na dnie twojej kieszeni
Już nie rozpoznasz mego kształtu w swej dłoni
Na nic te twoje efekty specjalne, widzisz, na nic
Sklejam się do środka, byś mnie nie mógł zdobyć
twoimi sekretnymi możliwościami drążącymi
Moje kuszenie plecami kołyszącymi, widzisz
i pewnie zadajesz pytanie unde malum², Bruna?
Naśmiewam się z twego płaczu, jeszcze jednego
Wiesz, to tak jest, że to ty musisz prosić o łaskę
wizyty u mnie w pałacach doszczętnie zniszczonych
gdzie zaraza o moim imieniu pożera wszystko i ciebie

²unde malum (łac.) — skąd [pochodzi] zło. [przypis edytorski]

Pozrę cię też, jak tylko się pojawisz w moich podwojach
Me oczy, gęstwina ciężkich powiek i nie dostrzegam
Mam alternatywne zakończenie dla ciebie, o misterny
W tym scenariuszu główny bohater odchodzi w dal
nie rozmywa się jednak, lecz wszystkie jego detale
zaczynają skrzyć od ostrości postrzegania ich na raz
Wszystko zdaje się być takie brzydkie, jaskrawe
Płaczliwe wiatry już ścierają me imię, zapominając je
wracają do siebie bez mej odpowiedzi, milczę, milczę
Zmazują me imienne atrybuty podarowane mi kiedyś
Szkoda, że sama nie mogę ich wyręczyć w tym

Pieśń szósta. Bramy Piekieł

Puk, puk, otwórzcie, zmoklej bogini łez i moczeń nocnych
Stoi przy bramie, kołacze, oczekując waszej gościny na noc
Tu się rozpoznaję, przy wejściu i domofon z moim imieniem
Podzielone bramy na nieskończoną liczbę segmentów
ciągle dzielą się wewnętrznie, ciskają, miażdżąc się w granicach
Nadproża potężne, wielkie filary dźwigające ciężar spotęgowany
Obrazy i historie niby tu widnieją, ale się kamuflują nawzajem
przez spróchniałe zęby cedzone, przez zgryzy zatrzęsnięte
Nowe rysunki na odrzwiach wyrzeźbione dłutem zębatym
Skryste pod deskami światła zwłoki czynów przerażających
Znaki dziwne rozpoznaję, w woskowym świetle ich płas
Polichromie zdrapane wiatrami dalekimi i kształty miękkie
W rozglifieniu łuku wieńczącego drzwi napisy po aramejsku
Charakter pisma wskazuje na autora przycupniętego
On chciałby zachować anonimowość, raczej się nie ujawnia
Pewnie jakiś dawny mistrz je kuł, bramy piekieł w ogniu
Są na nich zakazane kwiaty, których nazwy są ominięte
we wszystkich językach dawnych i przyszłych, i zaginionych
W przycółce lampka z napisem *wolne*, możesz wejść
poprawić przed lustrami w sraczu wypadające włosy
Ślepymi maswerkami ozdobione, czołgankami upiększają
przy klamkach licznych na wszelkich wysokościach
podkreślają stylistykę podążającą w dół i w przepaście
Te modne tendencje w architekturze są osobliwie ciekawe
Zapachy obłędu mego, szaleństwa, tu rozpoznaję się na szczęście
Wśród musujących kształtów dostrzegam trzy postaci wokół

Obgryzam palce do krwi i dotykam tych figur mellitowych
Dwie stojące z otwartymi ramionami, jedno zwierzę zbite
Wszystkie spojrzały na mnie, uśmiechając się przeciągle
Zauważyły moją obecność dotąd tutaj niedostrzeganą
Wtedy poczułam histerię olbrzymią i lęk odsłonięty
Uderzyła mnie fala zła niewypowiedanego w czoło
Rzuciłam się do ucieczki, tłumiąc swój zgubiony oddech
lecz ma ręka spoczywała już na klamce, która odskoczyła
a brama była taka piękna, karmelizowana z tłuszczem
Ot, te sztuczki opierające się na skrzypliwych zawiasach
one wiodą nas na zatracenie w głębinę najstraszniejszej

Nie witajmy się zatem w progu
sata-musie, czy jak ci tam było kiedyś na imię

Pieśń siódma. Pieśń ściśnięta

Plączcie teraz, wszystkie płaczki żydowskie
Te najpiękniejsze łzy ocierajcie wymuszone
Wysuszajcie swe płatne oblicza włosami
perfumowanymi i namaszczanymi, i długimi
Do tego pośmiertnego orszaku wybieram
te najbardziej wczuwające się i niewinne
z wielkimi oczami rozmazanymi za zapłatę
Drogimi kamieniami was obsypię, całe drogie
Te ręce załamujące się, te jęki, naciągane wycie
Ja nie mogę nad sobą płakać na zewnątrz
Wciśnięta w siebie widzę tylko swój smród
Nie potrafię czuć, tylko ścisk niemiłosierny
Wpychana w najmniejsze ramy moja wielkość
ograniczana liniami czarnymi, oskarżającymi
Me kształty dawne w bolesnym marynowaniu
Zapadam się nieskończoną ilość razy w się
W najgłębszą przepaść w sobie ciągle wpadam
Ciągle spadam w dziurę, którą jestem, pełną i złą
i te chóry potępione, te głosy z dawna cierpiące
przypominają mi dokładnie śmierć zadawaną
Teraz tęsknię za jego obliczem, które odrzuciłam
Za morzem pozostał i pozwoliłam mu zapomnieć
Tu wszystko już zostało spełnione w echem licznych
Tu wszystko już zostało zaprzepaszczone kiedyś
Wciśnięta w środku żyję tylko rykiem wewnętrznym
Nie wyobrażałam sobie, że tak boli śmierć wieczna
Umieram nieskończoną ilość razy, niewidząca kresu
zadać sobie ból z jego dekoracyjnymi detalami
Mieć przez chwilę możliwość tej rozkoszy boleści
Nienawidzę najbardziej mego bytu skurczonego
wszystkiego, trwającego w nieśmiertelności mojej
Plączcie, o piękne kobiety płatne i lakierowane
Zmuszajcie się, zmuszajcie się wzajemnie, podsycajcie
do żalu za moim wiecznym pogrzebem w listopadzie
Trwam z więdnącym wiankiem chryzantem na głowie
Odszedł ten, co podawał mi wino do ust, pragnąc mnie
bez niego wysuszona oceniam ciągle mą stratę wieczną
Brak mi teraz tych pieprzonych, pastelowych kolorów
kojarzących się z jego cichą obecnością w dalekich tłach
Niech wasz płaczliwy skowyt wzniesie się, o płaczki
w ten kosmos okrutnie cichy i wolny, piekielnie wolny

Pieśń ósma. Bruna nastuchuje bóstw spokrewnionych

Daleko i blisko pod moim ramieniem słyszę popiskiwanie
Żalodne, nerwowe moje drapanie w tym miejscu, gdzie śwędzi
Głos spokrewniony usłyszałam wbity we mnie, tak daleki
Śpiewak fałszujący drżał, srał w majtki bawełniane z domieszką
po nogawkach rajstop ściekał mu mocz ze strachu przed sobą
Wciśnięcia w głębokości nieodkryte przez żadne wehikuły
Byliśmy dawno napelnieni ambrozją i nektarem kradzionym
Szeleszczą części skołtunione mocno, pod spodami
Słyszę świsty jak pieśni powlekane żalością wyczynową
Bóstwa spokrewnione tłoczą się w tym niemięjsku, we mnie
Przekrzykiwania na ścianach przepaści, noszę ją w sobie
Nienawidzę ich, a oni mojej obecności, jednakże zmuszeni
Skóry po nas zostają, po bóstwach leśnych, prehistorycznych
Posłyszałam głos pojedynczy, zdał mi się jakoś rozpoznawalny
Szepcząc w moim uchu, umiejscowił się jak w niewygodnej pufie
Ten pisk, syczący torturował precyzyjnie dźwiękiem nieznośnym
Jego głos, trzeszcząca dźwignia kości zginająca, kości zrywająca
Zasypcie grubą warstwą żwiru to gnojowisko smrodem oszałamiane
Wszystko od niego ucieka, nawet on od siebie ucieka lekko
To gardło jest tu tak zwężone, nie ma przelania i oddychania
Nie wbijesz w to rurki, by uratować mu życie, by mu uratować śmierć
by uratować jego pieśni charczące przed każdorazową destrukcją
po szepnięciu jednostajnym, od razu niszczone są przez polykających
To najmniejsze terytorium bóstw zapomnianych w starych mitologiach
Zaspiewaj mi swą piosnkę zdolnego szambiarza uwikłanego w zagadkę
Nadchodzisz, w mordzie trzymając swe kości zmiażdżone jak puchar
tym własnym pyskiem i tonowym naciskiem na siebie samego
Twój wątek przeplata się gdzieś we mnie rozpiętej i zgniecionej
mieni się w okolicy, dając znać, że się jawił kiedyś jako Pseudohelios
okrutnie biczujący swymi promieniami twarz pobielone rozpaczą
rytmicznie uderzając w ich skóry, jak w bębny bolesno-dźwięczne

Pieśń dziewiąta. Pseudohelios wyje

Ksandzie, Podargu, Ajtonie i Lamposie żelazny
gdzie się podziła wasze ostre, końskie włosie
wasze gęste grzywy zasłaniające mi głębokie doły
kopane na grobowce Heliosa okrutnego wieczorem
muskularne, dźwigające mój odwłok władczy
Pociągowa wasza misja skończyła się dosyć szybko
Podkradł mi was inny bóg zachodu z brązową twarzą
Nie barwi się tak mocno przy zmierzchu czerwienią
Me słoneczne potomstwo uciekało promieniami
przed moim gniewem olbrzymim i wrzaskiem furii
Jednakże wszystkie z dala gdzieś krążyły na orbicie
Mieszkałem jako prawie trup słoneczny trochę w Italii
Mój pierwszy syn, Faeton, nie mógł patrzeć na mnie
nawet w słonecznych okularach, wybuchał płaczem

Miażdżyłem jego pneumatyczno-aerodynamiczne kości
żelazkodeskami płonącymi, krzesłami wirującymi
Jego delikatna matka, pogruhotana odwożona karetkami
karetami króla słońca, jechała na sygnale mego odrzucania
Nienawidziłem widnokregu przypisanego mi przez los
Wypalałem ich delikatne powierzchnie i wilgotne kąty
zakamarki schowane przede mną, jakoś trochę urodzajne
Faeton popelnia samobójstwo w trakcie zaćmienia słońca
tak był przyzwyczajony do mojego oblicza spalającego
Widząc już tylko pustynię w owej krainie pogrzebanej
szczątki płaczące mi się między zębami i odchodami
na drodze gwiazdzistej poznałem kobietę-kometę uciekającą
podążyłem za nią w inną galaktykę i tam poślubiłem ją
koronując się jednocześnie na największego patriarchę
Me kolejne mitologiczne potomstwo to drobne księżyce
za małe, by je rozbić o siebie z hukiem, ich jęki posłyszec
Meteoryty wysyłane i przedmioty zderzane z ciałem
przy wieszaku na płaszcze przygodne, bujający się abażur
Abażur złoty był mi konkurencją w oświetleniu wnętrza
Abażur żółty, zgnieciony, bujający się wśród przerażenia siłą
Bicie po ich lekko uniesionych głowach w stronę słońca
Nikt nie jest dostatecznie godny, by spoglądać w me oblicze
gniewu i nienawiści do panoram rozpostartych wokół
Ona — kometa uciekła z dziećmi z mego widnokregu
montując markizy przeciwsłoneczne, żaluzje ciemne
Przesunął się mój ruch jednostajnej fizjologii w bok
Mieszkałem znów tam, gdzie inna strona świata się myliła
Z kolejną boginią rodziłem kolejne brzuchy nienażarte
Przychodziły do mnie, prosząc o ciepło, biłem je okrutnie
po tych ustach zdziwionych, oczekujących minuty solarium
Potłuczone żebra córki nieznośnej i syna z chorym sercem
Sikali ze strachu, gdy wracałem wieczorem do mego pałacu
Zniszczeni, płaczący, lizali swe rany po wybuchach słońca
Wpełzali pod meble włoskie z wyprzedzaży zakupione
Byłem przekonany o swej nieśmiertelnej sile niszczącej
lecz pomału prawie niezauważalnie stawałem się słaby
Traciłem swe rumaki ciągnące mój rydwan spalony
ich kopyta jakoś tak tętniły w coraz większym oddaleniu
Zrzucony ze swego słonecznego powozu dotknąłem ziemi
na której już nikt nie zamieszkiwał, porzucona w pośpiechu
Zdychałem przez kilka lat, doczekawszy niepełnosprawności
Zachowałem swój jad ukryty między zmarszczkami na zapas
by starczyło do końca tego niszczenia wszelkich przejawów życia
Me mroczne panowanie i regulacja buntów żelaznym drągiem
zanikało jakoś i bladło, znikał mój ostry blask z powidokami
W domu starców nikt nie chciał się mną zajmować i doglądać
Każdy się mnie bał, opowiadałem im o mym niszczycielstwie
o tych zależnych i zaciemnionych, powoli wzrastających w cieniu
Opowiadałem, jak odchodził Faeton pierwotnie niszczony
po miękkościach odsłoniętych, po miękkościach zasłoniętych
Pielęgniarki chowały twarze, a chłopcy ze wstrętem spoglądając
życzyli mi wszystkiego najgorszego, dużo chorób w dniu imienin
podawali mi papierosy, czekając, aż zgasnę, charcząc w dymie
Z czasem zmieniłem się w *czerwonego olbrzyma*³ obrzękniętego

³czerwony olbrzym — nazwa gwiazdy będącej na schyłkowym etapie ewolucji. Nazwa pochodzi od ich barwy i zwiększających się rozmiarów/ [przypis autorski]

Nowotwór wpompował w me ciało wiele powierza i wodoru
 choć leżałem, umierając, byłem znów najmasywniejszy, potężny
 W samo południe, gdy słońce było najwyżej, pojękując, odchodziłem
 Jak umrę, wszystko zgaśnie, potężne bóstwo zasypia ze wszystkim
 w grobie wraz z rodziną żywcem pochowaną, wraz ze służącymi
 i psami, i z wężem ogrodowym, programem telewizyjnym na piątek
 Miękki zastrzyk przeciwbólowy kołysał się we mnie łagodnie
 Łuski węża ogrodowego pokryły me oczy, oddech ustał w ciszy
 Wtedy poczułem pierwszy raz lęk, zmuszał mnie do uciekania
 odrzucając moje zewnętrzne warstwy, zachował się tylko środek
 Jądro, skondensowane w środku mym, okazało się skarłowaciałe
 Zostałem zdetronizowany, pośmiertny zamach stanu i ścięcie głów
 Nagle zrozumienie uderzyło mnie w brzuch najgłębszy, w biskopt
 Uciekłem jak najdalej od tych szeptów nawracających uciążliwie
 w wielkim pośpiechu, hysterii dotarłem tu, do królestwa strachu
 zsikując się ciągle przed sobą — przed nadchodzącym czarnym karlem⁴
 Zbity do mego wnętrza, nigdy się nie poszerza ani zwęża
 Przypominam sobie płacze nieustające za mną, za okrutnym
 że był taki ohydny, już prawie nie wspomina się go przy obiedzie
 Jakieś charczące huki tylko określają moje pochodne kształty
 ktoś ciągle śpiewa głosami mych ofiar w tle, naśladowując idealnie
 Przypomina mi ich strach przed nadchodzącym Pseudoheliosem
 zamykane przede mną żółte drzwi do pokoju, drzwi do piekła
 które i tak wyważę, i wejdę do tej szczeliny, i zmieszczę się tam

Pieśń dziesiąta. Piekło pseudoheliosa

Określając me śluzy ciągle skapujące

e
e

Zapadające się litery w sobie noszę tu
 cały czas, przy sobie mam swój koniec
 Skrzywione usta tak trudno narysować
 Jakim ołówkiem szkicować ich kształt
 granitowo-fioletowy i obawiający się?
 Oto nadszedł głuchy dźwięk z zimna
 Więziony w sobie, własne żebra-kraty
 Wisi przede mną żółty abażur pradawny
 Jakieś istnienie rozumne i przebiegłe
 szeleści, zadając mi rany, ramy wąskie
 cytując i śpiewając — tatuując we mnie
 słowami i pieśniami miażdżącymi się
 teraz odwrotnie rozciągane, za ogony
 na szorstką stronę, która nie pozwala
 na noszenie ich bez otarc i zniszczenia
 Trzeba zawsze było sprawdzać metkę
 kraj pochodzenia tych tkanin skrytych
 zakazywanych i wytrzymałych jak juta
 Noszę ze sobą zawsze swój koniec
 Widzę ciągle tylko zakończenia ze mną
 z głównym bohaterem filmu amatorskiego
 w którym wtórują głosy zamazywane

⁴czarny karzeł — hipotetyczny końcowy etap życia gwiazd. Gwiazda przestaje świecić, stając się w ten sposób zimnym czarnym karlem. [przypis autorski]

tylko zakończenia mi pozostają
puszczane w ciągłych pętłach
one zaciskają
piekło

śpiew z dziwnym raczej niespotykanym akcentem

gdzież się podział ów, ten helios pierdolony, pragnący spalić świat?
nauczmy cię dyscypliny, my, krwawe owoce lychee, organizujące
spotkania po latach i uczyty zakrapiane winami poświęconymi
sraj ze strachu, nadchodzimy na ciebie, znów w odwiedzin
żeby ci było jeszcze bardziej przykro i byś był bardziej samotny
przyzwyczaj się do naszej obecności cierpkiej i karzącej
hi, hi, będziemy dydaktyczni bardzo, oczekuj tego, tylko tego
ohydne, niby takie silne i oświecone, teraz płacze to nieżyjątko
dogonimy cię i będziemy niszczyć, aż nie będziesz w stanie płac
ze strachu, że noc się nie kończy, a złe sny są takie namacalne
i szeleszczą złowieszczą w przepoconych, długich palcach
wydrapiemy jego gardło językami z płomieni, samozaciskami
aż skuli się do niemożliwości, aż będzie wzywać swe dzieci
my z jego ust wszystko pochwycimy, spożyjemy łapczywie
napelniamy się bowiem sokiem jego, prawie że pęczniejemy
w naszym wiecznym głodzie, w trwaniu zakonserwowane
i niezmiennie perwersyjne w rekonstrukcjach

Pieśń jedenasta. Bruna śpiewa pierwszą pieśń wojenną

Wysuszone są me usta, już żaden pocałunek
Nie uda mi się schować w kimś przez moment
Oto mój wróg, wróg śpiewający przede mną
skrywa się za słowami pełnymi czarnej wydzieliny
Umieścił się przy moim uchu i pęcznieje
przez chwilę, potem rzezi w swoim oblężeniu

Będę prowadzić wojnę międzynarodową i wielką
zamorduję wszystkich piosenkarzy dorabiających
Takich jak ty mordować, ich przyuczone głosy
przyuczone głosy do jakiegokolwiek atrakcyjności
W ustach powleczonych same kamienie i ziemia
Szykuj już swój herb wojenny, będzie powielany
herb z czerwonym pasem i zapinką żelazną na nim
Zetrzemy się w bitwie na moim terytorium
ja wyznaczam

Każdy jest tutaj czyhający na ciebie, więc sikaj z lęku
W twoich oczach zamieszkuje strach i ta nerwowość
Nie będę miała dla ciebie żadnej litości, nie licz na to
Już maszyny wymyślłam, by zdławić twoje liche chlipanie
Zbieram je, gromadzę w zbrojowni, zaskakując cię

Pułapki na lisy i szczury zastawiam, tym się zajmuję
z siatki, z drutu, poranić cię i cię jeszcze bardziej poranić
Ten twój stan zapalny ciągle się aktywizujący pulsuje

pulsuje rytmicznie, przeczuwa swoje wieczne trwanie
Machiny szaleńcze, nowe rodzaje broni będę próbować
Kierować będę je wszystkie, ich małe i wielkie lufy

do twej buzi

Pieśń dwunasta. Bruna wstuchuje się drugi raz

Dorzuć trochę swoich kości do ognia, bo robi się chłodno
Pod wyleniałą peruką z kreciego futra i z nutrii brzmi wokal
Nadkobiece ma zdolności manualne, taka męska jest i silna
Nawet teraz odwrócona do wszystkich nie chce występować
Idź tam do niej, namów ją, by rozwinęła swe spocone pięści
Niech nie boi się odkrycia swej szpetnej twarzy, robaczywej
Chodź do mnie z tłustymi włosami zgubionymi i wrywanymi
Przedstaw się ładnie, bardzo proszę, teraz kolej na ciebie
Próbowałaś trunków zakazanych pozyskiwanych z boleści
Witaj w klubie tenisowo-golfowym dla potentatów ropy
czystych, zarumienionych podnieceniem, swoją personalną furią
Pogryziemy wszystko nieznane, sprowadzane z dzikich krain
Będziemy się oblizywać, cieszyć w środku ze swej nadrzędności
Kobięcy wokal wrzaskliwy, taki przekomarzający się o swoje miejsce
Niszczyła wielu, by zaśpiewać taką niezwykle odwróconą pieśń
No może teraz zaprezentujesz ją szerokiej publiczności
przed moim pomazanym obliczem, barwami wojennymi
Nikną już oczy i moje twarze w maseczkach wojennych
Będę cię zabijać wsłuchiwaniami się we wszystkie półtony
Podziemne kwiaty swe pąki zżerają, przerażone wiecznością
Jak uciszyć tych samozwańców rozrastających się w kątach
Samozwańce w korowodzie zaciśnięte w mojej głowie depczą się
i przepychają, i ładnie się uklonić należy, no mniej więcej tak
Któż tu będzie pierwszy, który pierwszy wystąpi, pokazując się?
Sztuczki sceniczne, aby jakieś osoby zaklaskały z zażenowaniem
chyba nie do końca zrozumiały, że ta pani śpiewająca to trup
Jakaś taka dziwna jest, dziwnie się uśmiecha przez brak zębów
że w ogóle pozwala się na takie występy, scenografie pomyłone
Ona się nie rusza, w sumie nie umie śpiewać, jak inne jej podobne
a suknie ma w pasy czarne i nie wiruje w pędzie zgnieciona
tylko pluje, krzyczy ściśnięta i to cały jej występ uroczy
Przeciska się przez siebie, a każdy jej ruch to niemożliwy ruch
Biegnijcie do pierwszych rzędów zobaczyć jej make-upy
namalowane jej uśmiechy w zespole pieśni i tańca ściśniętego

Pieśń trzynasta. Urania śpiewa głosem odwróconym

Szepcząc słowa rozprysnięte, wykrzykując odstęp
ćwierćnuty i ósemki w częściach szesnastych
tych dawnych, ludowych, śpiewanych historii
Urania jestem, jestem pełna swej siły okrutnej
Nawet tu, zobacz moje zniszczone, krępe dziąsła
dziury wydlubane we mnie z precyzją mistrza
Niosąc długie sukna ze wzorami płacziwymi
idę do ciebie, przezuwając siebie, z pełną buzią
Urania była kiedyś sierotą zawszawioną podle
Nie była słaba jak inne, ale się wywyższyła nad
Uwierzyła w wojnę i najgłośniej krzyczała
wykrzywiając twarz w grymasie wielkiej siły
W pierwszym rzędzie tych najsilniejszych, Ja
szybko dostałam od mych kochanków szorstkich
dyspozycje życia i śmierci w mych kieszeniach
płatały się one ze sobą, gubiłam je w kaprysach
Inspektorka obozu pracy we wschodniej Ukrainie
tam gdzie Urania miała w każdym mieście pomnik
W każdym mieście powiatowym mój pomnik
Siedząc na podwyższeniach, władałam kobietami
Przynależały do mnie dziewczynki od 4 do 16 lat
druga grupa 16–60 lat, poza limitami nie istniały
Musiały oszukiwać mnie strojami, spuszczoneymi oczami
Chodziło o zdolność do kreatywnej pracy i siłę wyciskaną
by budować utopijne ruiny, jakąś tajną bazę na piekło
Staruszki nagie, kobiety rozkwitające, dzieci w barakach
Ja spoglądałam na nie surowym wzrokiem karcącym
Matki, siostry, kochanki bogów zwiędniętych pod butem
zdychają w hurtowni drobiu zziębniętego i białego ze strachu
Urania urzędzała sobie wspaniałe uczyty zakrapiane winem
gdzie wszystkie zapraszała, wyciągając z baraków chłodnych
w tej przedostatniej wieczerzy, widzą ją tylko kobiety ciężarne
patrzą zaciśnięte z bólu głodu swego i dzieci schowanych
omdlewają, piszczą, nigdy później nie słyszałam takiego pisku
Kolacja z masłem, szynką, ciepłym chlebem, miodem kapiącym
Oto były me siostry, zakonnice skazane na mnie, na Uranię
Siostry pod wezwaniem najokrutniejszej, bez serca miłosiernego
Biłam ich gładkie oblicza, ciągle się odradzające po nocy
Rajskie ptaki, feniksy, takie piękne, prawie jak nietknięte
suki o modrych i czarnych spojrzeniach, bite po głowach
tam podobnie umiejscowiona jest dusza ludzka, podobnie
Czy można być tak okrutnym jak ja, co ubieram się w ich ból
Biodra szerokie, przepasane dekoracyjnie wrzaskiem i śmiercią
Co za chorały antygregoriańskie mi towarzyszyły wtedy
gdy strzelałam do łabędzic uciekających w lasy, chronią się tam
wraz z małymi dziećmi, nie uciekną nigdy przed Zapobiegliwą
Czuwałam, aby ich serca z piernika pękały z bóleści, kruszały
rozmiękając od łez
Urania jest popromienna i zdeformowana, nie ma słabości
Nie ma we mnie pięty Achillesa ukrytej w kaloszach ciężkich

Trwało to lata, choć nie liczyłam tych niezbyt oświetlonych chwil
Ostatecznie wszystkie kobiety zostały kupione przez Szwedów
zapłacili masłem i mięsem różowego łososia za 20 wagonów
Pojechały ściśnięte i szczęśliwe, trzymające się za ręce razem
Machałam więc im chusteczką, nienawidząc ich coraz bardziej
ale wybrałam sobie sztuki z tego tłumu, by służyły mi do końca
panny niby mądre czekające na swego oblubieńca, aż przyjdzie
ale wyręczyłam go w tym jego opóźnionym przychodzeniu
Zabijałam je, strzelając im w łagodnie rozmazane oblicza
strzelając w ich miękkie karki, co do całowania i pieszczot służy
Zostałam w końcu schowana przed kontratakami do miasta szarego
Schowana troskliwie do schludnej nory przez dawnych przyjaciół
pamiętali doskonale pieśni w moim wykonaniu sprzed lat
W małym przydzielonym mieszkanku żyłam jeszcze długo
czytając dzienniki i kręcąc przy tym głową ze zdziwienia
Urania pomału przestała promieniować, choć pozostałam w głębi
na zawsze wywyższona przez tamte dawne nimfy, przez ich śmierć
śmierć błogosławionych, ta wyjątkowość skryta, niepowtarzalna
Zmarłam w swoim mieszkaniu samotnie w mroku postępującym
Po tygodniach ktoś odkrył mój posunięty rozkład, rozkładówkę
gdy smród w okolicy nie pozwalał już spożywać kolacji postnych
Usnęłam w trującym powietrzu popuszczanym
śmierć na skutek nieuczestnej instalacji gazowej
Pan dozorca zapisał w notatniku jedenaste przykazanie
nie zapomnę sprawdzić kuchenki złowrogiej przed snem
Gdy się obudziłam, uderzyła mnie mnogość oddechów
rozpoznałam je w ciemności przepelnionej nimi
szepcąc przezwyciężający mą grubą powłokę prześwitywał
Usunęłam go swym żelaznym ramieniem, znów było silne
ramię odrzucające litość, ornamenty strachliwe i blade
Marszowym krokiem kolosa weszłam tam, gdzie skały
Intensywniej wszystko teraz czuję wszystko i rozpoznaję
Jestem związana nokturnami, co kiedyś były mi śpiewane
przez te, które nienawidziłam za tę ulotność, za dusze
Ja niczym klucz nutowy rozpoczynający ich ciąg melodii
ostrość zapisu nutowego, przepisane czytelniej
Nie pominięty zostanie żaden detal, żaden szczegół
Ten utwór sama sobie dedykuję, dla Uranii skowyt wijący
156 zgodnie z katalogiem Kehla⁵ albo diabli wiedzą kogo
zaciśnięta liniami, na których to wszystko zostało opisane

Pieśń czternasta. Urania in ferno

W krzakach wysterylizowanych, w chowanego
próbuję się znaleźć, nikt mnie nie szuka tutaj
Trwam jako niezbity dowód w postępowaniu
Jakieś resztki uczyty zalegają we mnie
Nastawiona na temperaturę 250 stopni
jestem zakalcem zapadniętym ciągle
nie ma żadnej szyby, żeby mi się przyglądać
Pieczona w formie chwytającej mój kształt
dziury we mnie pęcznią po kulach dawnych
tkwią jak rodziniki i rozsadzają mnie

⁵katalog Kehla — spis dzieł Wolfganga Amadeusza Mozarta. [przypis edytorski]

Ich rozgrzane wątroby eksplodują we mnie
Wewnątrz mnie jakieś obecności obce
drażnią mój głód i rozpacz, i zapadanie
Czy wielcy bogowie tak muszą kończyć
w okowach własnych, stalowych ramion?
Moje kipiące istnienie do nieskończoności
ciągle jest kadrowane do punktu gęstego
Formy wykute własnoręcznie w ogniu
w ogniu wulkanu, w śmierci, w płaczu
dzięki temu są niezniszczalne z gwarancją
Zgnile kawałki ciast, rozrzucone mięso
Wszystko mrok, nie ma żadnych światel
Nie ma światel do ostatniego występu
słynnej Uranii o głosie nieludzkim
Wszelkie me wydostawanie się z formy
wszelkie me wydostawanie się ze słowa
jest odcinane za pomocą noży japońskich
przez te śpiewające przy pobliskim ognisku
Z dziwnymi uśmiechami już nadchodzą

nadchodzące śpiewają

jesteśmy raczej martwymi naturami
ustawimy cię i wszystko, co się spełniło
w różnych konfiguracjach kompozycje
ograniczony jest ten zestaw rekwizytów
czesać ich ostry kształt swym wzrokiem
możesz obserwować dotkliwiej ich detale
tylko pomagamy, komponujemy wytwornie
w detalach znajdziesz wszystko, co znasz
czerstwe kawałki ciast, rozrzucone mięso
to pożera mrok i nie ma rzeźnych już światel
rzeźnia nie jest w modzie, raczej tu nie pasuje
wiedzimy raczej szarą tkaninę podwieszoną
w końcach szarpaną z bolesnymi frędzlami
a wśród niej takie kęsy zgnile jak pamiątki
rozrywające jej jednostajnie potępiony koloryt
na scenie dla ciebie ustawimy scenografię
nasza siostra uwięziona przez siebie w nas
a my jesteśmy raczej martwymi naturami
z uśmiechami szerszymi niż cokolwiek
z uśmiechami dekorującymi wnętrza
zapomnianych ruin

Pieśń piętnasta. Drugi front wojny z uranią

Wysyłam posłańców z nożami kuchennymi
z nożyczkami zaostrzonymi na szorstkościach
by rozpocząć walkę o przewodnictwo, uranio
Rywalizujemy, która z nas bardziej zdeformowana
Urządźmy sobie konkurs piękności pośmiertnej
Wystąpmy w najokrutniejszych kreacjach
Wszystkie melodie już ograne, nie zdarzy się nic

Mordami przeżuwały ciągle tę samą strawę
Przeżuwały się nawzajem, zmuszone słuchamy
Jesteś obok mnie z tą kulą i cyrklem niestępiwym
urania niby władca, niby nim odmierza proporcje
tych ciał idealnych i zdolnych do wysiłku
Nienawidziłam cię od pierwszego dźwięku
od pierwszego wejrzenia
Te ramiona niby smukłe, a jednak masywne
Zbieraj teraz posiłki, swe armie niszczące
Twój głos ściszony, zmuszę cię do milczenia
Kontenery będą cię wywozić, kontenery
w interpunkcji drobnej będziesz wywożona
Góra plastiku po powierzchniach malowana
dlatego nie ma tych żył mineralnych w środku
tych krystalicznych pęknięć w środku litej
z której jękające się moźesze mogłyby wskrzesić
studnie i fontanny znakomite, rozłożyste
Teraz pozwól, że będę cię okładać słowem
rytym w tych samych miejscach, co kiedyś
Kiedyś w te miejsca uderzała urania w uranie

Pieśń szesnasta. Podstuchy

Leżę na wysypisku śmieci sprasowana w kubik
Wokół mnie podobne kostki do gry oszukiwane
Jakiś dźwięk, fragment we mnie częścią odłożony
odzywa się i charczy, próbując się przedrzeć
Ten masyw sprasowany walczy o głos mocniejszy
lepiej może go nie dopuszczać, czuję jego ton
Łasi się jakoś tak dziwnie, ale brak mu skóry
Łasi się, by jeszcze raz czujność zatracić
Chwyci, zniszczy wszystko wokół wyłożone
Obliczył sobie to na podstawie rachunków
że on jest Rugewit, stosując kalambury i losy
Rzucając, obliczył, że na każdej jego stronie
na każdej jego kostce siedem jest kropek
dają one nieśmiertelność, to taka liczba
Mimo że śmierdział odchodami rybimi
potrafił się zakraść cichutko, skraść wiele
owoce kwitnące, świeżo kradzione warzywa
Już go słyszę, pod mą pachą chyba skrył się
Zaknebluję go jeszcze czymś, by milczał
taśmą malarską albo workiem foliowym
z wizerunkiem uśmiechniętych kobiet
oblizujących palce ze słodczy schowanej
Zamknijcie mu mordę, ten otwór zdechły
gdy przyjrzyysz się uważnie, zauważysz
w jego obliczu matowym śmierć
Iluzjonistycznie narysował sobie wiele głów
żeby się mienić i odmieniać ostatni raz
Przez przypadki odmiana okrutna

Pieśń siedemnasta. Rugewit nabrzmiewa

Me słowa przenoszone są w lektyce zbutwiałej
Ostatni raz je przenoszę, ich wątłe brzmienia
na mych plecach odcisnięte są po nich ślady
między przerwami wciśnięte i rozkładające
Oto jestem — zawołam rozdartym otworem
lecz nie jako sługa nasłuchujący do rana
lecz jako Pan wyróżniony i alabastrowy cały
Mało znane bóstwo znalazło bowiem sposób
na wielki powrót do słynniejszych i silnych
Chowałem się w dziuplach szarych wiewiórek
Me dzieciństwo było idealnie świetlano-miodne
gdy zmęźniałem, zacząłem pracować, wyjeżdżając
na wakacje do kurortów dla tych najbogatszych
Któregoś dnia, widząc młode kobiety, zrozumiałem
W kostiumach kąpielowych się śmiały, smarowały
Margaryną pachnącą, głaszczące się, całujące się
Widząc mnie podglądającego, drwiły ze mnie
Zuzanny w kąpielach obfitych z kwiatami, z winem
do których nigdy nie pozwoliły mi dołączyć się
Zrozumiałem, że mogę je skraść w ciemności nocnej
że mogę skraść te napoje niebiańskie z nich wytłoczone
bardzo drogie, niedostępne w tanich marketach
Przygotowałem się do tamtego dnia starannie
latami oglądając przewodniki po wielkich miastach
oglądając rozkraczone łona, co tam zamieszkują
Zapusiłem w mym sercu gęste ziarno bluszczu
obrosło mnie w środku, zakrywało mój strach
Wszystko dzięki temu było jeszcze bardziej tajemnicze
Rugewit wzrastał w domu jaskółek lęgnących się
Na starym strychu się lęgły, a ja z wysoka spoglądałem
Tak namacalne były me ofiary przechadzające się
Wiłem się bardzo blisko terenów mieszkalnych i osiedli
Pierwsza ma ofiara złożona na ołtarzu była dziewicą
taka jak ja, na wakacjach z rodzicami odpoczywająca
Opowiedziała mi to przy szklance gorzkiej lemoniady
Ona wypila lemoniadę przed tym, jak ją zgwałciłem i zabiłem
Muszą mi podlegać te wyszarpywania się gołębi ofiarnych
ofiary jaskółeczek składanych, bym był spokojniejszy raczej
Nikt nie usłyszał jej wtedy, nawet ja jej nie usłyszałem
W wielkim uniesieniu mord rozkoszy i nieprzyzwolenia
Orałem jej ciało gładkie, poczułem się bezkarny w szale
trzaskając w jej morskie loki młotkiem remontowym
Zakopałem ją cichutko, uciekłem do swojej skrytki
Rugewit nadchodził we mnie z hukiem, drżeniem ziemi
nikt tego nie czuł, tylko ja znałem dziwne wibracje
Podsyciałem w sobie te pragnienia unhappy endów
podniecając się tą wielką gromnicą na zigguracie wetkniętą
Śliskie były ryby wielokolorowe, ciągle na nie polowałem
Miałem władzę nad ich ławicami parskającymi śmiechem
Drugi raz udało mi się zabić młodą studentkę prawa karnego
Zadźgałem jej ciało nożem ostrym, z dalekich krain zdobytym

Trzecia to była sprzedawczyni mięsa i podrobów z okolicy
Zgwałciłem ją, zatlukłem kijem stalowym w norze lisa
Strzaskalem jej golonki, noszące jej ciężar na spacer
Czwarta zabita, dziewczyna w parku z pieskiem lękliwym
Poleżeliśmy chwilę po miłosnym uniesieniu na trawie
Choć ona już wtedy wielkimi oczami spoglądała martwo
na sosny wysokie, zupełnie jak żywa, odpoczywająca
Piąta była bardziej tłusta, w seksownych dodatkach
Była prostytutką tanią, dostępną w każdej chwili, nawet tej
Żywcem zakopałem tę kruszonkę słodką z nadzieniem
Szóstą gonilem długo, aż me zmęczenie było wielkie
zdążyłem rozbić jej czaszkę kamieniem, jak goliatce
Miała być ta siódma, która miała być zwieńczeniem
Mieć mitologicznych siedem głów niezniszczalnych
Ja, wielki Rugewit, pan życia najpiękniejszego
Jednej mi brakowało, by zyskać ten szlif brylantowy
na ostatnim polowaniu ofiara zbiegła w busz
okazała się odważną dziewczicą Joanną d'Arc, postępową
Znała jakieś wschodnie sztuki walki i motywacji
Nie zdążyłem zdobyć jej białego ciała jeszcze chłopca
Uciekając przed mą histerią, wydała mnie w ręce policji
Sprowadziła armię rewolucjonistów, oni nie chcieli boga
któremu składa się takie drogocenne podarki w święta
Oskarżyciel wpadł na ślady mej konstrukcji bolesnej
odkrył te wcześniejsze, zużyte materiały budowlane
Wszyscy wykrzywiali swe twarze surowe, wyniosłe w ocenie
gdy oglądaliśmy zdjęcia, ich portrety w ramach, z wykopalisk
Jakże się zmieniły od naszego spotkania w leśnych zaułkach
Jednak brak miłości nie wpływa dobrze, zaniedbują swą urodę
Prychnąłem śmiechem, widząc ich zdziwienie okrucieństwem
Rugewit musi składać sobie ofiary, takie jego przeznaczenie
Gdy wyrok przeczytano, byłem z siebie dumny, zachwycony
Te tytuły i osiągnięcia małego człowieczka — wiewiórki
Zostałem skazany na krzesło elektryczne, które sprowadzono
ze stanu Nebraska, krzesło stalowe, na lekcję niby-dyscypliny
pożyczone od kolegi, który akurat go nie potrzebował teraz
Oto krzesło — to mój tron Salomonowy, ma sześć stopni i pół
W gazetach było me zdjęcie powiększone jak portret papieża
Przysłali mi księży w różowych podszewkach, w koroneczkach
katolickiego Anglika, islamskiego pastora, nawet rabina czarnego
Wobec nich ogłosiłem nową religię, której byłem wyznawcą
Całe me królestwo rozkoszy mieści się między literą J i A
Potem było wewnątrz sterylnie niebieskie, chłodne w nastroju
Troszkę obawiałem się bólu rozkosznego w natłoku
Za szybą widziałem rozwścieczone twarze rodzin mych ofiar
Zabrałem ich córy do łoża leśnego i rozgrzebanego, ha

bóstwo wylosowane, teraz odchodzę w obłoku
w błyskach glorii, w chwale na tronie, ponad słabymi
Przywiązany, w kapturze czarnym ustawiony król
Według żelaznych zasad ustawiony do zdjęcia
Ono rozjaśnić ma boską twarz z mroku
Przez me ciało przeszły wielkie fale i huki
Głowa opadła
lecz poczułem nieśmiertelność
uzyskaną w dziwny sposób, miałem siedem głów
znów nieuchwytnie dziki, wielki niebotycznie

zbliżałem się do miejsca mej nowej świątyni
Czy o tej porze będzie jeszcze otwarty kościół
poświęcony memu straszliwemu orędownictwu?

Pieśń osiemnasta. Siedmiokrotne po- tępienie

Zostałem zatrzaśnięty w pułapce z ogonem
którą mógł zbudować ktoś podobny do mnie
Pułapka siedmiokrotna, indywidualna bardzo
Jestem gwałcony przez swą siedmiokrotność
uzyskaną z dużym trudem, z zawzięciem
Siłą bronię się przed Ich obecnością bliską
One zawsze wygrywają ze mną w szarpaninie
wtłaczają w me ściśnięcie jady niespotykane
uzyskiwane w tajemnych produkcjach korzennych
Wtłaczając we mnie rzeczy, które są nienazwane
albo skreślone z nazw i w słoikach skrywane
Pod fałszywymi nalepkami oszukują, by trwać
Z rugewita dawnego zostało spuszczone powietrze
tak go wyolbrzymiało, czyniło widowiskiem
Lepiący się ze strachu, trwam, czekam, piszcząc
Milionowe gwałty i morderstwa popełniane są
na moim drżącym, lichym bycie, dziurawionym
już nigdy nie zostanie nadmuchany tlenem z płuc
Nie będzie służył do niecnych zabaw na plaży
Znów nadchodzą nieme świdry w mą resztkę
Znów wtłaczać będą w mój lęk jeszcze większy strach
nie do wyrażenia, niewyśpiewany przez nikogo
Bluszcz obrastający moje wnętrze został zerwany
pod spodem nie było prawie nic, tylko piekło
Dostrzegłem swą słabość, nagość skrzywioną
Mnogie loki zgubione, tych dziewcząt dawnych
wielkimi się mi zdają, niszczącymi me skoślawienie
Jeszcze bardziej, jeszcze bardziej gwałcą mnie
Nikt nie posłyszyna mego wrzasku, nikt, nawet ja

*zgubione loki*⁶

pijane jesteśmy twym sokiem jaskółczym
prażonym wielokrotnie z wyselekcjonowanych kwiatostanów
z przedziwnego moszczu zabarwionego ciemnym cukrem
na krześle wiszą odwłoki-powłoki, sztuk siedem
rozciągane, wyciągane, jakoś dużo tego tutaj
wiele dziwnych jaskółek krąży w tobie
po asfalcie biegniemy jako kudłate zbroje
złapiemy cię teraz za świeżo wydepilowane głowy
teraz boleśnie czuj, czuj, czuwaj

⁶*zgubione loki* — w druku od tego miejsca tekst jest wyrównany do prawej. [przypis edytorski]

Pieśń dziewiętnasta. Pieśń terrorystyczna

falująca

Terrorystyczna pieśń rzezi w ustach moich
powleczonych śliwkowymi kolorami zakazanymi
Otulona czarnym sukniem religijnym, zapadniętym
Zakradnę się do ciebie, jak będziesz w ciągłej agonii
podłożę bombę skonstruowaną w gniewie słuchania
rozerwie cię na strzępy słów i boleści, bezkrwawo
Me słowa stoją w prawie równych szeregach, równo
by atakować stoją w zdaniach zdyscyplinowane
Zaszczepiłam w nich silną chęć do walki z tobą
Ta niecierpliwość niszczenia w nich zatopiona
Pulsują w rytmach i gramatykach niby to spokojnie
gotowe jednak do fałstartu mściwego, już wyją, już
Chcą rozproszyć twoje dawne szeregi, falangi skryte
Uważaj, zaraz oblepią cię, chciwie szukając spełnień
jak pijawki, które miały być magicznie uleczające
Ja chowam się za ich zwartymi szeregami
planuję strategię muzyczno-wojenną
z falującymi liniami zapisującymi mój gniew
Takie wielkie widowisko, gdzie wszyscy giną
w tragiczny sposób na wieki, z medalem rdzawym
Jak zakopać cię martwym, kneblując pieśni zgaszone?
Twój głos potrącony niech nie wydobywa się na wierzch
Ile trzeba węgla brunatnego wsypać w twoją dziurę
ile węgla ma dostarczyć Polska Spółka Energetyczna
ile ton gliny trzeba wyłożyć na twój grób domniemany
by zapomnieć o twoim lamencie w Głuszy?
Nie dam ci już więcej tej harfy bezstrunnej
Wszystkie siedem strun zaszarpanych
nie da się ich już nigdy naprawić
Czarne jej obramowanie puste
by rezonans wzmóc
teraz na tobie się szarpie
na tobie ta szarpanina, trwa gra
Słyszę kolejną duszę zniszczoną
swym nieumykalnieniem zmęczoną
Wzgardzona wobec, szczyrzy swój dźwięk
rozdziara on moją głowę skarłowaciałą, wrytą
Ból szkicuje we mnie żalosne rysunki wyciągane
W szkicownikach ciągnę te rysunki kolekcjonera
Nie usłyszeć tych chórków otepiałych z bólu
Niestety brodzę w melodiach, brodzę ciężko
w melodiach, których się nie śpiewa
w pierwszej osobie liczby pojedynczej
Nigdy nie powinno się ich śpiewać

Pieśń dwudziesta. Lukrecja nuci na bezdechu

Podnoszę swój głos nisko, za nisko podnoszę znów
spod czoła gniewnego i zachmurzonego Lukrecji
noszącej w sobie same trucizny w ustach, w języku
Ona w sukienkach przewiewnych nosiła paczuszki
Moja pieśń ma smak fałszywy, trujący śmiertelnie
Pocałuj mnie namiętnie w usta, a dam ci ich smak sobą
Spróbuj, zasmakuj tych związków we mnie chemicznych
Mojej cierpkości wonie zagubione degustuj swobodnie
Mając dwadzieścia parę lat urodziłam zgniły owoc
Córka, zakradła się do mego brzucha i tam spała
Ja wtedy studiowałam medycynę w białym kołnierzu
Ona przerwała mi swym krzykiem wszystko, me plany
Urodziłam ją, choć marzyłam o aborcjach kwiecistych
Całoczerwony potwór, ciągle domagał się mnie bardziej
Rosa, tak ją nazwała moja matka, ja jej nie chciałam
nie chciałam jej nazywać, wołać po imieniu do siebie
Nie przytulałam jej, nie karmiłam, nie patrzyłam na nią
nienawidząc jej najbardziej na świecie, za tę jej niewinność
za uzależnienie od Lukrecji zwaną dalej Potężną
Nie przerwie mi planów jej byt jasny, złożony do łóżeczka
w te pościelenie, w ubranka dla najmniejszych, tkanych
Dziecko nie lubiło mej obecności bliskiej i dalekiej
Unikała mnie, płakała, gdy przychodziłam z pracy, z apteki
Praca sprzątaczką, wycieraczka po nocach, po nogach
Miałam być królową, królową cennych skarbów ukrytych
szmaragdowych buteleczek, odważników miedzianych
Wracałam do suterenu, gdzie była ona czuwająca
Spoglądała na mnie coraz rozumniejsza, wiedziała wszystko
jak bardzo jej nienawidzę, jak bardzo jej nie chcę i nie Kocham
W cichości swego serca wymyśliłam pewnego dnia śmierć
Zatruję swą córkę najjaśniejszą Rosę, zabierającą mi władzę
orzędującą, taką nieskazitelną, pewną swej obecności
Zaplanowałam to w szczegółach, obmyśliłam skład
Znałam się trochę na tych substancjach, na ich brzmieniach
Postanowiłam wyśpiewać nową pieśń głosem pewnym
Plan dawał mi energię do życia i radość wielką
Tego wieczora nie było mej matki stróżującej cierpliwie
Przygotowałam kaszkę z morelami, z dodatkami skrytymi
Skradłam je z apteki cichutko, niezauważalnie w nocy
Nakarmiłam jej twarz, nie chciała jeść mi z rąk
Wykręcała główkę na boki, nieświadomie się broniąc
przed nieznanym smakiem matczynej ręki, z dzikimi owocami
Za mamusię jeszcze pięć, łyżeczkę za mamusię, ta ostatnia
Umyłam ją pierwszy raz, z pewną dozą uczucia dla odchodzącej
ceremonialne, tkliwe obmywanie prawie że trupa
Spoglądała na mnie prawie ciepło, głaszcząc mnie po policzku
Ułożyłam ją do łóżka i czekałam z niecierpliwością na jej sen
W głowie plotłam już nowe historie bez dwuletniej córki
Próbowałam ją budzić, a gdy nie usłyszałam oddechu
owinęłam małe ciało kocem i zawiozłam na działkę
Zakopałam ją pod zwiędniętymi porami, z zimna umierającymi

mrucząc kołysanki, uśmiechając się do siebie w nocnej aurze
W mieszkaniu zaaranżowałam włamanie nieznanego i zniknięcie
Nie odkryto intrygi skrytej, przez lata córka była poszukiwana
Pogrążona w fałszywym żalu cieszyłam się spokojem i ciszą
tylko matka spoglądała czasem tak samo niepewnie
tak, jak kiedyś spoglądała ona, ten okropny bachor zaginiony
Już śpij, kochanie, Lukrecja założyła własną firmę kosmetyczną
o nazwie Rosa, widzisz osiągnęłam sukces rynkowy i medialny
Zaprawdę powiadam wam, świetna nazwa firmy produkującej róż
Wysłałam za mąż za chłodnego człowieka, on umiał liczyć
za człowieka, którego nie kochałam, a on nie kochał mnie
Nie posiadałam dzieci, Lukrecja się wysterylizowała na zawsze
W wielkich, chłodnych wnętrzach o różnych odcieniach trwałam
Odpooczywałam, nakładając tłuste kremy na mój rozkład powolny
Ostatecznie zginęłam tragicznie, w wypadku samochodowym
mając niecałe pięćdziesiąt lat i doczekawszy bajecznej fortuny
W zimowy wieczór jadąc swym luksusowym autem lustrzanym
wpadłam w poślizg, rozbiłam wóz o drzewo olbrzymie
Poczułam wielki huk i ból, ostatnie, co zobaczyłam w lusterku
to były gałęzie tego drzewa, wyglądały jak pory zziębnięte
takie rosły kiedyś na owej działce, gnijące i martwe już
od niespodziewanych przymrozków

Pieśń dwudziesta pierwsza. Rosetta

Wywinięta wnętrzem na zewnątrz zobaczyłam się
Wstyd ogarnął mnie wielki, rozpacz powłóczyła
Ktoś pytał głosem mej córki Rosy nieumiejącej mówić
Wystraszyłam się rozpoznania trującego zapachu
Skurczyłam się w hysterii, w wywyższeniu swoim
Drzwi piekła się zatrzasnęły za mną z hukami ciężaru
Zobaczyłam na ich odwrotnej stronie narysowane koło
To była rosetta
Witraż wybity przeze mnie w kształcie kwiatu umarłego
Zostałam wtłoczona siłą w najmniejszy detal tej układanki
Skazałam się na ciągle podzielanie się, ściśnięcie jednocześnie
Wszystkie te ramki ołowiane pełne były goryczy ściętej
po tym, co się mogło kiedyś stać, a się nie stało przez kolec skryty
Nie było żadnego prześwitu, okno dekoracyjne na mrok
tylko mrok się w nim odbijał pojedynczym kolorem moim
Zgnieciona do nawetniemilimetrów
byłam fragmentem rysunku potępionego w katedrze ciemnej
Odwrócona katedra iglicami w nas wpięta, ból perfekcyjny
Mogę myśleć tylko o niej, inne myśli zostały mi podcięte
Nie mogę odwrócić oczu, tylko szczegółowo trwam w śmierci
Tylko ja wypełniam jedno pole tej konstrukcji, reszta jest pusta
Nigdy ich nie wypełnię żadnym niedostępnym mi lekarstwem
ukradzionym od boga lub z apteczki diabła najniższego
W pustych polach dookoła czuję obecność Innych, płasających
Ustawiają miliony luster, bym się sama wciąż potępiła
Te lustra płatkami błyszczą we mnie, mój płacz nade mną
a one śmieją się jej głosem i mają jej echa w sobie, odbicia
Śpiewają pieśni tortury; skonstruowane przez Lukrecja™
wielce szanowna i potężna w swej figurze z pęknięciem

*głosem Rosy*⁷

piękna jest ta róża w ciemności hodowana
w piwnicach przechowywana wraz z zimnymi włosami porów
oto działka, hodowla amatorska warzyw umarłych
oto grządki rozkopane równomiernie i cicho, by nie słyszano
ten kwiat podziemny, podlewamy rosą bolesną
nie stępił się jego przepiękny widok, nastrój w tobie
patrz na nas, na lustra wszystko widzące ostro, dostrzegające
wyolbrzymiają teraz twą rozpacz, smutek skulony w miazdze
stałaś się nieważnym kawałkiem, którego śmierć obwieszczamy
psujesz całą kompozycję, jej urok, ciągle odrzucaną za smak
nakarmimy cię papkami, których jeszcze nie znasz w boleści
specjalizujemy się w tym tajnym ziołolecznictwie od wieków
przez wieczność trucizna w tobie będzie nabrzmiewać
lecz nigdy tego segmentu nie rozsadzi, nie uwolni cię
no, to nasza ukochana lukrecjo, może jeszcze jedną łyżeczkę
za córeczkę

Pieśń dwudziesta druga. Czwarta pieśń wojenna gratis

To dostaniesz ode mnie za karę
czwarta pieśń wojenna gratis
z gałęziami ciernia i stroikami
Są one z dawna przeklęte, suszone
Przykleję ci tę pieśń niezgrabnie
taśmą klejącą owiążę, dołożę ją
do całości jako upominek drobny
byś ją zaniósł i przechowywał
położył ją w jakiś starych szafkach
Wraz z innymi pieśniami zabierz ją
Tu słowa są ostre, raniące wokół
Nie na sprzedaż, ale za darmo dostarczę
pod wasze dobrze ocieplone domy
Lukrecja włożona w ramkę dekoracyjną
milknie w latyfundiach odziedziczonych
A przede mną już ćwiczy swe solówki
bogini wojny upadła, pokaleczona mocno
Pewnie to ona zaśpiewa w dzisiejszy wieczór
Uszy podkulają się z nienawiści do nowego
więc szykuję nową pieśń wojenną
śpiewa się ją przed bitwą krwawą
kiedy ciemnieją nasze oblicza, skrywane
pod tarczami jak parasolami
przed świtaniem schowani w swych ciałach
Taka pieśń jest dobra, gdy gorączka wielka
gdy wszystkie noże wpychają się same
do naszych rąk gniewnych i zaciśniętych
by się oklepywać mocno, do złamań wielu
Po bokach kruszyć twarde krawędzie wroga
do akompaniamentu potrzebujemy lęku

⁷*głosem Rosy* — w druku dalsza część tekstu jest wyrównana do prawej. [przypis edytorski]

i huków, i armat największych z dziurami
w które wkłada się bomby rozrywające
cały świat i niebo spokojne przedzielające na poły
Teraz ściągajmy te kominiarki terrorystyczne
maseczki upiększające nas w walce z tobą
Jakże piękne są dziś te dziwne barwy wojenne
Pokażmy swe nierozpoznawalności ciemne
niech ujrzą kolejną twarz nieludzką prawie
Pokażmy swe oblicza wyniosłe, wszystkim
Zło jest gratis do niebiańskich smakołyków
tylko tak to jest zapakowane i przemycane

Pieśń dwudziesta trzecia. Badb Catha kracze

Krótkie włosy zachodzą mi na oczy
nie widzę nic prócz ich ostrych końców
Badb Catha wspaniała, groźna niezwykle
kracze w dalekich krainach nieznanach
Wykształcona w dobrej rodzinie przyzwoitych
Pani kruk, panienska z dziwnym spojrzeniem
Studiowałam fotografię z ocenami celującymi
Lubiłam fotografować w czerni-bieli reportaże
Potem młodzieńka, pachnąca wyjechałam do Afryki
dokumentować narastającą tam wojnę diamentową
Dzięki dostępnym mi stale pieniądząm żyłam dobrze
Poznałam go na wytwornym, cukrowym przyjęciu
tamtejszego króla plemienia morderczego, węzowego
Zaoferował mi wielkie złoże kokainy i wina
Zostaliśmy przyjaciółmi, szanował mnie jak siostrę
spoglądał w me zaczerwione, przekontrastowane oczy
Mówił, że widzi w nich śmierć, którą on kocha
Podczas jednego z seansów, gdy oblepieni złotem
bielusieńkie, magiczne mączki z puzderek
wpadliśmy razem na zły pomysł, przekrzykując się
Może podał go nam równocześnie jakiś demon
ta nasza wspólna zgoda, jednomyślność wtedy
Wiedział on od dawna, że lubię fotografować śmierć
niby to przypadkową, to zwierząt, to kwiatów dzikich
Zajmował się narkotykami oraz ich dystrybucją
był właścicielem paru magazynów z słodyczami
miał też żelazną czwórkę zajmującą się zabijaniem
Śmierć drobnych narkomanów, zbyt głośne prostytutki
rodziny konkurencyjnych handlarzy i niecni klienci
wioski nie współpracujące z nim, na śmierć skazane
Ustanowiliśmy układ, utkwiał on w nas, mocno związał
On mi pozwalał robić zdjęcia tym zamordowanym
w których jeszcze życie się tli, bym mogła oglądać
napawając się widokiem ich odchodzenia i cierpienia
Tę noc spędziłam z Tym, co dał mi władzę oglądania
W mych nozdrzach już czułam wielką tajemnicę
Me podniecenie, me drżenie było wielkie, niezwykle
Pierwszy raz zdarzyło się to w niedalekim porcie

podczas przeładunku miał być usunięty jeden oszust
Jechałam w samochodzie, prawie frunęłam jak kruk
zobaczyć ciepłe pole bitwy, napawać się widokiem
Strzelanina była krótka, wyszłam, spoglądając na niego
Błagał mnie o litość i ratunek, powoli i dostojnie
ustawiłam aparat, zaczęłam go fotografować cicho
Modlił się chyba, zasłaniał się przed moim uśmiechem
Podniecenie ogarnęło mnie wielkie, bo Oto Jestem
Bogini wojny syci swe kontrasty w skali szarości
jak walczy się ze śmiercią, jak śmiesznie się ucieka
Innym razem mój ukochany postanowił wybić wioskę
Pojechałam wraz z nimi, czekałam w furgonetce
aż zakończą przygotowania do mej uczyty wieczornej
Krzyki kobiet, wrzaski dzieci i męskie płaczliwe głosy
podniecały mnie do tego stopnia, że cała piałam
Nie byłam w stanie zapanować nad euforią
uśmiechem mego wielkiego spełnienia i radości
Gdy już otworzyli drzwiczki, kaci całowali mnie po rękach
Nikt się przede mną nie schroni, zabiorę jego duszę
do mych skrzynek czarnych i tajemniczo zamykanych
W fotografiach pozowali zmuszeni do ostatniego uśmiechu
Widziałam te twarze popaprane, anatomiczne konstrukcje
Dzieci skulone, wyciągające dłonie do skrzydeł kruka
Kroczyłam między ich ciałami, ja, królowa ich umierania
Jakże dziwne kwiaty pokrywają tę łąkę, jakże dziwne pole?
Setek zdjęć, ujęć z różnych śmierci i cierpień wielu
Me suknie w czarnej krwi umoczone jak opłatek łamany
Mogłabym ratować ich przed odchodzeniem, tamować
ich krwotoki, sklejać tętnice przerwane w jednej chwili
ale białe oblicze wyniosłe unosiło się nad nimi
Tylko na pamiątkę zachowywałam ich wizerunki, portrety
portrety trumienne nieznanymi żołnierzami, cichymi rodzinami
W zielonej, soczystej wilgocią dżungli schowana śmierć
której i tak nikt nie zauważy, nie osądzi, bezkarne me hobby
Król koki sprowadził mi nawet chłopca umiającego wywoływać
zdjęcia w żółtych kuwetach, suszył je na ciepłym powietrzu
Wisiały te zdjęcia na sznurkach jak prania, drżały na wietrze
Zefir muskał je, kołysał te wizerunki, co litości nie doznały
Mój techniczny wkrótce sam się powiesił na tych sznurkach
Na którejś z fotografii rozpoznał swe dziecko i żonę dawną
Wisiał wraz z tymi zdjęciami, kołysał się na ciepłym wietrze
Nadużywałam słodkich narkotyków, pod rzęsami je nosząc
Zwycięska w czarnych sukniach u królów afrykańskich
Sprzedawaliśmy im najlepsze wyroby cukiernicze w okolicy
wraz z bronią do wojen krwawych i potępiających rzesze
Nad czarnymi łepkami płynęła biała królowa, język maczająca
przygryzając z podniecenia do krwi oczy zachodzące mgłą
na wspaniałych wypoczynkach sprowadzanych z mediolanów
Mój wielki król zawsze prosił mnie o podjęcie decyzji
strategiczne było me krakanie głodne śmierci i krwi
Opowiadałam mu często, jak odchodzą jego wrogowie
Pokazywałam mu zdjęcia dawnych niepodporządkowanych
Śmialiśmy się wtedy, pijąc szampan wyborowy, kochając się
na tych zdjęciach, jak na niebie czerwonym bóstwa razem
a ludy prymitywne odczytują to z konstelacji gwiazd
Mordowaliśmy wzajemnie swych kochanków z dziczy

przygodnych, obustronnych, śmiejąc się, ćpając
Biała jak kokaina królowa nocy rozkoszą i towarzyszem
Miałam parę tysięcy zdjęć z różnymi trupami pozującymi
w ekstazach cierpienia, bólu zatrzymanego na papierze
Śmierć zdarzyła się porą deszczową, gdy odpoczywaliśmy
po nocnych eskapadach na dachach świata bezkarnego
Do naszego pilnie obserwowanego pałacu wjechała armia
Byli wśród nich zbrojcy wyszkoleni do przerywania uczt
W pałacu wszyscy zostali zastrzeleni, nawet psy w ogrodzie
Gdy wtargnęli do sypialni byłam nieprzytomna, naga
Podszedł do mnie sędzia, strzelając z hebanowego pistoletu
w głowę jasną, całą w lokach z dawna zapętlonych w kołtuny
Zdążyłam usłyszeć tylko krzyk zdziwienia króla mego
Eksplozje naboju w mej głowie zapukały krzykiem
Leżałam jeszcze chwilę na polu bitwy, słysząc swój ból
napęlniając się obficie krwią, dławiąc się nią histerycznie
Me oczy zamarły i odzyskałam świadomość, znów byłam
Poczułam wielką moc, mój lot kruka znów był uwolniony
Poczułam obecność innego boga niedaleko stąd za rogami
Uciekłam od niego jak najdalej, moje spojrzenie było przesyczone
Uciekłam do jakiegoś ciernistego gniazda
gorycz się w nim lęgnie na wiosnę
Rozbiłam się o bramę, na której rozpoznałam dawne wizerunki
dawnej świetności, boskości nurkującej w bólu
Pióropusz został mi zabrany, nagość też została zabrana
Badb Catha, kiedyś nasycająca się widokiem bitwy
ucięte ma skrzydła i dziób, i wszystko ucięte
jestem kadrowana
skadrowana idealnie
do ostatniej fotografii

Pieśń dwudziesta czwarta. Zbyt ostre zdjęcie

Przechodząc między słabymi ciałami
śpiewającymi pod markowymi sandałami
byłam krukiem, na którego się nie poluje
Me piekło jednostajne, tupoczące cicho
Zostałam pouciana, me gałęzie szerokie
bym się zmieściła, musiałam być ciosana
Jestem zbyt ostrą fotografią z błędem
Na tym zdjęciu widzę się jaśniejącą jeszcze
za mną stada ich głosów, podążają za mną
na fotografii, na matrycy nieskończonej
takich drobiazgów nigdy nie znajdziesz
Diabelsko ostre linie i kształty skarżące
jęczą oralnie, te szczegółowe opisy techniczne
w scałkowaniach grzechów perfekcyjne
One przesiadują na wiecznej ławie oskarżycieli
która z samych czarnych konturów się składa
Mówią one o afrykańskich odmianach śmierci
Treny wyśpiewują, wskazując mnie w gniewie

One są dla dawnej badb catha strachami na polu
oblekane najbardziej niegodziwymi materiałami
budującymi je, dającymi im siłę straszenia potworów
Chciałabym od nich uciec na dawnych skrzydłach
lecz jestem w nie wciśnięta, do nich przypięta
One mnie teraz określają, nazywają powtórnie
wołają do mnie po moim grzechu, on został
na zdjęciach w całych seriach miliardy, miliony
w każdym z nich jestem uchwycona i trupia
na każdej z nich pozostaje jeden błąd techniczny
efekt czerwonych moich oczu na każdym zdjęciu
Krwią zachodzą, a nie łzami litości nad obitymi
barwi się karminem moja ślepotą nabyta, barwi się

kontury wpisane w badb catha

owłosione kontury z pióropuszcami, nie zwilżone łojem żadnym
jesteśmy w tobie dodatkowo, to takie najnowsze opcje techniczne
obiektyw panoramiczny, czy widzisz, rozrywamy cię jak akordeon
dopasujesz się do wszystkich nieznanych nawet nam możliwości
przysłona jest całkowita, raczej nokturnowe będzie to ujęcie
na nasz tort urodzinowy z gromnicami, co je zdmuchniemy
owłosione kontury rysunkowe drażnimy w powiększeniach
mnożymy się bez ustanku w swej nieskończonej pasji obwiniania
płynąc w tobie i przez ciebie, rozbłyskując w twojej ciemności fleszami

Pieśń dwudziesta piąta. Pieśń za- kamuflowana

Wygrzebuję się z siebie, otrzepując się z lepkich resztek
Przyjaciółko, całujemy się więc do nienawiści zmuszone
przerażone sobą nawzajem, raczej chętne do bójki krwawej
Wspólne zetknięcie jest bardzo bolesne i nienamiętne
już żadnych rozkosznych ogonów przydługich grzechów
Niszczymy się podskórnice, drażnimy swe rany
Zjem ci policzek, kawałek szyi być może pogryzę, żując
Będę płuć już tym twoim mięsem, co zaczęło pracować
Ty będziesz mnie ranić błyskami twych głębokich otworów
Teraz niestety muszę cię zabić, mój pierwszy raz zabijam cię
Proszę, rozepnij tę koszulę utkaną przez jedwabniki ślepe
przymknij oczy, jak to robią młodzi chłopcy kradnący jabłka
niedoświadczeni w śmierci za karę przymrużają oczy z lęku
Twoje usta jak ich, jeszcze pełne antonówek tegorocznych
Wyj, teraz do mnie wyj, do kata, wykrzyw się jeszcze bardziej
Zapomnijmy o dawnych pokrewieństwach płci, skóry i żył
Ja też jestem gotowa na twoje ciosy, tylko poniżej łona zbijanie
Słyszę już twego brata nadchodzącego, niszczącego okolice
Czy możesz zasłonić swymi kruczymi rękami jego głos?
Uroda twa zniknęła, więc sypię zakamuflowanymi gwiazdami
Zakamuflowanymi gwiazdami prosto w brzuch trafiam, ciskając
Bez litości dla ciebie, będę się uśmiechać, aż rozgniotę cię pieśnią
pieśnią zakamuflowaną, będę strzelać słowami w jasne twe loki
Niemożliwe? To się jeszcze przekonasz, jak wielką moc ma kamuflaż

Za fasadą ze słów ukryte są wielkie arsenały, potęgi nieodgadnione
Rozpinaj swą bluzkę i przymykaj oczy z bólu, umieraj ciągle
Będę cię nienawidzić tak mocno, nawet śmierć nas nie rozłączy
Tak mi dopomóż piekło, wszyscy potępieni świadkowie ceremonii
zdjęcia z tej uroczystości będą na końcu, po wszystkim
gdy będziemy pozować do wspólnych portretów trumiennych

Pieśń dwudziesta szósta. Set Seta

Zagrzmiecie w trąby odwrócone, zostałem ukoronowany
Gronostaje łaszą się, kłaniają się zgruchotanymi ciałkami
Tak się powinno władcy cześć oddawać, skłonami
Zasłaniając twarze przed moim obliczem Najwyższego
Chorągwie szykujcie, flagi ze wstęgami, twórcie pochody
śpiewając hymny ku fortunie, która ma fikcyjną nałożnicą
Rogi obfitości wypełnione słowami, udają one owoce
Grajcie, śpiewajcie piosenki przymuszone siłą i złotem
siłą i złotem wygięte ich słowa, melodie, modlitwy głośne
Z pochodzenia jestem Set, z rodu wielkich generałów
Ojciec spoglądał na moje ślinienie się astmatyczne ze wzdrganiem
Od dziecka byłem przygotowany do bycia kimś niezwykłym
służyłem w wojsku, tam zabijałem, pojedynczo, proszę
Nauczyłem się manipulować gęstwiną pokrak w kombinezonach
już wtedy byłem oszustem błogosławionym, wywyższonym
Set kradł im dusze, sprzedawał taniej, niż kupił na giełdach
Rysowały się już utopie podpawniczone jeszcze uczuciami
lecz z czasem te podziemia wilgotne zostały zasypane pyłem
Przyszła wojna, jej postać, suknia w najsilniejsze wzory
Wyciąga się do mnie, prowokuje mnie pod sklepem z alkoholem
Oszołomiony jej hałasem mianowałem się Głównym Konstrukтором
Zacząłem wydawać pierwsze rozkazy i niszczyć swych wrogów
we wnętrzości ich ingerując, implikując im nowe funkcje
dla nich mój jad wcierany, by być nieuchwytnym w walce, śliskim
Rozdawany przeze mnie chleb z ziarnami naboju, z musli
Wielkie szkoły przyuczające przedszkolaków do walki wręcz
Ich czarne usta od zjadanego atramentu straszyły się wzajemnie
Przepływała przeze mnie świadomość władzy, przyszłe królowanie
Zacząłem zszywać sobie nowe płaszcze, nowe miecze wykuwać
Zostałem wrysowany do atlasu dzikich zwierząt występujących
Litość — gangreną zdrowia kolosów i nowych olbrzymów
Straszyłem grupy płochliwe pochowane w norach przede mną
Wydawałem rozkazy zabójstw mych przeciwników i przyjaciół
rozkazy zabójstw w ilościach hurtowych, nie detalicznych
Uniform skrywał wielkie tajemnice, wygniecione i spocone
tatuowałem się mapami, których nikt nie potrafił rozczytać
Przygodne kochanki ginęły przerażone widokiem mych planów
daty, miejsca na przegubach, ostateczne rozwiązania pod ręką
Pornograficzne zespolecie i pozycje wykorzystywania śmierci
nie nazywajmy tego nawet tańcem, to ja prowadzę ją na parkiet
Przeciwnicy znikali podczas wycieczek szkolnych w lasach
Set we mnie wzrastał, coraz silniejszy przeżył się dniami, nocami
Zmieniało się moje oblicze na coraz surowsze, kamienne w dotyku
Taki był ze mnie nowoczesny faraon, wielki złodziej w nocy śniący
Dokumenty zawierały coraz dłuższe listy do rozstrzelania

ich podpisywanie, charakter pisma, ciężar ostatniej pieczęci
Nacisk mej dłoni na papier czerpany ze skóry i włosów z kwiatami
Armia coraz głodniejsza, bardziej wściekła podbijała dalekie krainy
Pochody na moją cześć wydłużały się, wzbogacane były w pieśni
W usta wpływały miody pozyskiwane z uzurpacji pszczelarzy
Złoto sklejało mi palce i lutowało me dziury w słabych zębach
Pszenny brzuch pęczniał i coraz bardziej gniewny byłem
Z wielką zapalczywością paliłem świątynie dawnych bóstw
Ołtarze ich roztrzaskiwałem, ciąłem w bloki kamienne dla Seta
Gdzież są one milczące i zamyślane, niech zejda i toczą spór
Niech schodzą z krzyżów, niech z komór gazowych się uwalniają
Niech wybiegają w panice z kolorowych glorii, co je otaczają
Zostawcie swe hula-hoopy mieniące się tęczami, bijcie się ze mną
Statuy wasze przerabiałem na swoje pomniki zalewane kwiatami
kadzidłami różnymi ubłagiwany jestem, jestem tym złotym cielcem
z fałszywymi wymionami, mleka nie wydadzą ni bogactwa nikomu
Mój wzrok pada właśnie na ciebie, czy czujesz jego szorstką surowość?
Padaj na kolana podcięte przeze mnie, wołaj, wołaj do nowego boga
Set obwieszcza swe imię, które jest już złą nowiną nazywane
na wszystkich odrzwiach, na wszystkich powypisywane
Wielkie strategie gniecienia ludzkich ciał wobec innych
Wybrałem sobie dobrze wroga nazwałem go, dla nich
Nie potrafiłem i nie chciałem z nikim się dzielić władzą
Jabłka władzy zachłannie jadłem, nie pozostawiając nic
Nawet ogryzek nie został z niewidocznym mym zgryzem
po którym można się zorientować, że jestem ludzki i zły
Pęczniały me złowrogie usta zapalczywe, cyniczne
Oni słuchali i gotowali się, by zanieść innym śmierć
Śmierć przysyłana, jeszcze tego samego dnia ją dostaniesz
nie musisz się niecierpliwić, na pewno ją dostaniesz od nich
Otczałem się wokół dziećmi, można je ścinać bukietami
z ich ściętych łodyg ambrozja, nektar bez dodatku cukru
otoczony szczelnie, wyciągałem swe dłonie do nich
głaskałem po jasnych głowach i karcilem za brak dyscypliny
pouczałem ich właściwie, opowiadając przypowieści o sile
Me podium liczyło tysiące pilastrów zawiniętych w sobie
Tylko ja wygrażający niebu i skarżący je za zbyt jasne noce
za zbyt trzeźwe poranki po bitwach
Nad małymi, skarłowaciałymi pochodami widnieję rozciągnięty
Ochroniała mnie gwardia milczących, mroźnych morszczuków
która często się zjadała wzajemnie, zachowując dynamikę nocy
Wielokrotnie próbowano mnie zabić eksplozjami komet
Pewna trajektoria meteorytu zawarła się we mnie, zahaczając
Przejeżdżałem swym wozem, gdy wpadliśmy w zasadzkę
Widziałem twarz młodego chłopca celującego, zdenerwowanego
ledwo utrzymywał karabin, rozdawany za darmo na pochodach
Strzelił mi w twarz zupełnie amatorsko, celując za 10 punktów
Rozerwało się me oblicze niepoświęcone, krwawe relikwie
Żołnierze zastrzelili go szybko, próbowali ratować wodza
tamować mą krew, która uwolniona z użyłnienia kipiała
Umierałem może pięć minut, skuwany mój wizerunek
tłuczony mój pomnik, moja statua 700-metrowa zniszczona
tak można zabić boga ze złotą twarzą Seta na polnej drodze
Ukryłem tętniące ranami oblicze w tkaninach, dłoniach
Odchodziłem od swojego ciała jakoś tak daleko, niespokojnie
Usłyszałem ryk, przyrost wielki mej drobnej figurki

Lustrzane drzwi do piekła zwabiły mnie swym odbiciem
Czerwone dywany witały Seta, w tle słyszałem ich głosy
kłaniające się nisko, uznające mą zwierzchność nad nimi

Jednak gdy bramy się zamknęły, zrozumiałem ich odwrócenie
łowiły mnie z dna i pożerały moje resztki, śpiewając hucznie

Pieśń dwudziesta siódma. Nowy Pochód

Wydlubano mnie z wielkich pomników, z głuchych muszli
Zrośnięty z ich masami zostałem ostrym nożem wyluskany
Ogołocenie wielkie, obdarcie boleśniejsze i ciężarne
wokół mnie zaczął się nowy pochód potępienia
z daleka usłyszałem te odgłosy, zobaczyłem je w sobie
jak przenikają mnie warstwami, jak gnieźdzą się w mym zbicju
Na miliony części zostałem podzielony, każda intensywna
Byłem niesiony w Ich kwiatach, w Ich ustach me kawałki
na butach przyklejony, pod paznokciami Ich, we włosach
Rozszarpanie zwiększyło się bardzo, zostałem rozdany na talerze
słowa i dźwięki, obrazy w pochodzie płynącym przez me żyły
w ciągłym, nigdy nie męczącym się sznurze silnym, zwartym
Uszyte mieli ze mnie swe falbany świadczące o ich potępieniach
Ze mnie mieli szyte flagi, proporce młodzieżowe dygoczące z lęku
Krzyczą do mnie, śpiewają ochryple ze złości, chcą mnie zabić
jak mnie spotkają w jakimś sklepie z nabiałem, to wpełzną mnie
wpełzną mnie do tysiąca jogurtów z trującym wsadem z jeżyn
Może ci się trafi spróbować mnie, może trafisz akurat na mnie
Wpychają mnie do najbardziej bolesnych zakamarków, w dziury
Wciskają mnie do kretowisk ślepych, które skrywają w sobie coś
Potwory te nie mają żadnych portretów ni wizerunków, ni imion
nie pojawili się jeszcze fundatorzy zamawiający takie portrety
raczej nikt obrazów ich nie uczyni, z lęku przed takimi paletami
Teraz śpiewam jako kawałek najslabszy, zdolny do pogłosu
Lękam się wszędzie, gdziekolwiek mnie niosą One — łapczywe
Moje Greatest hits ciągle na listach przebojów w bibliotekach
Me portrety w piwnicach czekają jeszcze na ponowne odkrycie
Nieskończona możliwość dzielenia jednego, w gorączce mojej
Pochody pełne gimnastyki artystycznej, rozciągania mnie
Jestem chrząstką łączącą ich kości strzaskane i skarłowaciałe
Wykonywany pochód przez zawodowe wizerunki chybotliwe
Na podobieństwo moje, na obraz mój czynione morszczuki
w zalewach octowych zawijane, wokół mnie owinięte

usłyszany fragment pieśni z pochodu na cześć seta

gdzie się skrywasz przed kwiatami z krepiny, o królu wojny
w jakiej gęstwinie map zjełczałych, zaginiony wśród nas kompan
każdy z nas ma dla ciebie laurkę z dedykacją osobistą i wierszem
chcemy cię teraz wydrapywać, pozyskiwać z rudy miedzi twoje imię
formy do odlewania wydrążone tak głęboko, że nic ich nie wypełni
set wyciąga swe gardło na wierzch z bólu przemówienia wydrążonego
które kieruje, jako zawsze ostatnie słowa, do oprawców w łuskach
oj, czarne i głębokie są paszcze morszczuków, które chwytają cię

bawią się w wojnę, taką udawaną, tanią w ciągłym utrzymywaniu jej
i udają w tej wojnie, że jesteś królem setem, który ciągle ginie na końcu

Pieśń dwudziesta ósma. Antypieta

Bruna śpiewa

Wycieram tobą się, podcieram się tobą poprzecznie
Swą strzaskaną głowę na mych kolanach ulóż
Resztę o tobie będę musiała sobie wyobrazić
to tylko półtusza, półdusza, ćwierć wygięta leży
Leżysz, o mój adoptowany wrogu, w mym zgnieceniu
w poprzek ułożony, wijący się, cały w lęku skąpany
Na kamiennej twarzy rysuje się wielka wżgarda
Nienawidzę twego umierania i tego, że inni umierają
umierają za ciebie, za twoje imię, wyznawcy władzy
przelewając cudzą krew, dają ci ofiary na ołtarzach
na stołach potępionych i prowizorycznie stawianych
Leżysz mi na kolanach, konając i bluźniąc wyraźnie
Połamane kości wrzucone na mą suknię potarganą
mogę z nich teraz wróżyć, układają się w rebus
Król wojny na moim łonie wygnieciony spoczywa
Wychudzone, sine dłonie wbijam, zaciskam
byś trzeszczał i chrząścił, i odsuwał wzrok z bólu
w mym cmentarnym łonie poprzecznie ułożony
Wyrzwasz się, bo nie chcesz tej kary ode mnie
To taki prezent dla mnie, że mogę teraz patrzeć
choć me oblicze skrzywione wepchnięciami
Oświeceni cieniem takim, nic go nie może dać
układamy się w kompozycje razem wygięci
gwałceni przez wzajemną bliskość i oddalenie
Długie włosy Bruny włożą ci do ust ślepych
ich falowanie powoduje twą sprofanowaną śmierć
żaden konserwator nie uratuje naszej antypiety
nie ma takich środków chemicznych
przerywających
proces wzajemnego niszczenia dwóch figur
do jednej pieśni zmuszonych, wepchniętych niedbale
w siebie

Pieśń dwudziesta dziewiąta. Fenrir schowany śpiewa

Czy mogę się dołączyć do tej grupy rzeźbionej?
Będę w tle, jako cherubin nadmiernie owłosiony
Wzbogacę ten układ nierytmiczny ślinotokiem mym
Zawsze ten dodatkowy aspekt i tajemnicę zawrę
byście tym bardziej byli zagubieni w szelestach
Wysiewam wam nowe słowa, które będą suszone
przechowywane na piecach kaflowych z boku
Pełzną do ciebie jako Fenrir wzywany przez siebie

Schowane jest wszystko we mnie, pod plandekami
pozwiązane, nigdy przedtem nierozłożone
Podzespoły przewożone, niepołączone w całość
tajnie przechowywane, nocami przenoszone w dal
Choć nigdy nie byłem autorem śmiercionośnym
w głowie torturowałem stada tłuszciochów pączowych
często przymykałem oczy, bym zaspy trupie widział
Zbierałem do mojej duszy wszelkie niegodziwości
Oto ja, nowy misjonarz, nowy Fenrir zmartwstańczy
unicestwię cię językiem, przykrościami nadziewanymi
unieszczęśliwię cię sobą słownie sto tysięcy razy
Fenrir mieszka w wynajmowanym wiecznie pokoju
jego głównym zadaniem jest niszczenie dookoła
Pulchne, różowe twarze niszczone są przeze mnie
Autor scenariuszów tragicznych objawiony wam
z misternie planowaną intrygą zaskakującą zawsze
To ja dobieram odpowiednie role płaczące aktorów
Płacząc ich kwestie narzucone tak, że się łamią
wpadają w depresje harmoniczne, leczą się mną
wpycham w nich mój jad w kształcie drogowskazów
po to, by na wieki zaginęli w odstępach leśnych
przywiązani przez siebie do drzew przy drogach

Jako drugie dziecko chłodnych rodziców tliłem się
Od początku, od kiedy pamiętam jedyne uczucie
nienawiść do wszystkiego dobrego
Cynicznie wykorzystywałem osoby bliskoznaczne
szybko zostałem z domu wyrzucony bezpowrotnie
Pracując w teatrze jako sztukmistrz reperujący
dorabiałem nowe elementy ze starych scenografii
manipulowałem ich starymi znaczeniami w nowych
w nowych premierach występowały historie dawne
Bardzo skomplikowaną i wyrafinowaną grę tworzyłem
Stół, na którym zapija się bohater, przerabiałem na kołyski
szubienicę zamieniałem na krzyże, a je na deski wychodka
Nikt mnie nie lubił, ale byłem bardzo oszczędny w pracy
potrafiłem detali używać setki razy, modulując, klejąc
Pozwalałem sobie z czasem na manipulacje aktorami
Przynosiłem im fałszywe informacje na patenach
oni wsyiali je nieświadomie ode mnie, padali ofiarami
Ofiary nowego scenariusza, co ma ciemny grzbiet
W głównych rolach u mnie grały niegodziwości
Niektórzy wpadali w alkoholizm, inni się rozwodzili
aktorka odeszła na leczenie psychiatryczne na zawsze
Wtedy poznałem dziewczynę, posiąść ją chciałem siłą
Ona bała się mojego oblicza pełnego złości malowanej
uciekała ode mnie pełna hysterii, nerwowości jakiejś
Nauczyłem się ją tak nienawidzić, jak nikogo wcześniej
myśląc o niej, spijałem leki uodporniające mnie na nią
gdy cały szerniałem z gniewu w sobie, byłem gotów
Ona była śmiertelnie zakochana w jakimś jasnoookim
Uknułem misternie tę historię tak, że ona nie wiedziała
Przez listy, przez przypadkowe rozmowy i oszczerstwa
powoli, konsekwentnie, przez dwa lata mych strategii
doprowadziłem ją do samobójstwa w zapomnieniu
Ma księżniczka nawet nie wiedziała, jaką rolę zagrała
na pewno by dostała masę głównych nagród za grę

Złoto za rolę pierwszoplanową u takiego reżysera jak ja
Drugoplanową rolę teraz miał zagrać mój brat rodzony
który zawsze był do mnie porównywany jako lepszy
Pewien czas mieszkał u mnie, miał kryzys z żoną
Przez tygodnie szczepiłem go nienawiścią i gniewem
ostatecznie zrezygnował z pracy, zaczął pić dużo
Widziałem, jak leżał zarzygany pod moimi drzwiami
prosił mnie o radę i wskazówki, o didaskalia
Staralem się jak mogłem operować go amatorko
Zgodnie z przewidywaniami, planami, zabił żonę
w szale, w zazdrości wpadł do domu i udusił ją
tak jak mu to wcześniej ktoś szeptał do ucha, ktoś
Oskarżony o zabójstwo został skazany na 15 lat
Jego więc odłożyłem do mych zapasów na zimę
gdy wyszedł, nie zapomniałem o nim, zapił się
Tak mój byt niewidoczny, acz nadrzędny trwał
Doczekałem późnej, samotnej, dobrej starości
Na półkach mej biblioteki stały scenariusze
zwijały się ich strony z bólu, do brzuchów zwijane
Imionami je nazywałem, rozpoznając w nocy
Czytałem te albumy ze zdjęciami, podziwiając się
Fenrir skryty, Fenrir szary, już nie zapomnisz mnie
Do końca zachowałem wielką trzeźwość umysłu
Niewłaściwe narządy w niewłaściwych funkcjach
w trakcie operacji woreczka żółciowego, burego
niewłaściwe detale w nieodpowiednich miejscach
spowodowały całkowitą katastrofę w mym ciele
Mój uśpiony oddech się wytrącił, zbudziłem się inaczej
Czułem jakieś zagęszczenie spersonifikowane i wielkie
dałem się wszyć w smycz Jego, ciągnął mnie teraz
za te nici, których kiedyś używałem, niewidzialne ciągnął
zaciągał mnie z tego przydługiego spaceru do domu
Fenrir haftowany w detalach bolesnych zaczął się pruć
coraz boleśniej pozbywany swej ukrytej, bogatej sierści
Mój nowy właściciel wołał już do mnie w gniewie
Do nogi, głupi psie, gdzieś ty się podziewał, Fenrirze?

Pieśń trzydziesta. Waruj nam za- wsze i wszędzie

Schowany, wkopany do najmniejszej skrytki
do budy powleczonej mą wściekłą śliną i włosiem
zaprawa cementowa z tak trwałych składników
Znalazł się właściciel, wołał mnie po imieniu
Zawszony i zbity leżę, liżąc otwartość mą teraz
a mój język tylko drażni szorstkością najboleśniej
Oglądają mnie w klatce haftowanej ze smyczy
a nad nią napisane w czterech językach me imię
*„Potwór Fenrir⁸, któremu się wydawało, że jest wielki,
że pisze oryginały, niszcząc swych tanich aktorów
A to wszystko były tylko adaptacje starego piekła*

⁸Fenrir (mit. skand.) — olbrzymi wilk, który ma zabić Odyna w dzień Ragnarök. [przypis edytorski]

już wszyscy tak dobrze je znają, oglądali tysiąc razy
teraz to wszystko się nie liczy, a już haftować nim można
jego dusza włóknista jest i ciągnąć można nici z niego
możemy z jego sierści bolerka tkać, rękawice śniegowe
Kłębek w nim ściśnięty, więc wyrywajmy mu jego nici
tnijmy na długości włóczki do zawieszania nisko
bombek, cacek szklanych w kształtach nieznanych
Łańcuchami go złotymi obwiążemy, niech błyszczą
niech nam robi nastrój, niech będzie nastrojowo”

To wszystko w mym imieniu zapisane na wieki
z regularnością przychodzi sam właściciel, zbija mnie
bym nie zajmował swoim bytem zbyt dużo miejsca
Tutaj jest mieszkań przygotowanych jeszcze wiele
Będę coraz mniejszy, gęstszy, coraz bardziej unerwiony
niepodobny do żadnego człowieka ani zwierzęcia
Śmieją się teraz ze mnie, wskazują palcami mą dzikość
Oto cyrkowa atrakcja pod namiotem nieprześwitującym
Chodźcie, oglądajcie me potępienie, chodźcie i oglądajcie
Przez kraty tych słów wystawiam swój pysk gotowy was gryźć
Przez gęstą siatkę zdań się nie uwolnię, aby was pożerać
Ostatnie zdanie musi ostrzegać tabliczką przyklepioną do pieśni
na wszelki wypadek tabliczka, gdybyście ręce wyciągali do mnie
jest na niej nakreślone, że jestem zły Fenrir warujący w piekle

Pieśń trzydziesta pierwsza. Pejzaż wewnętrzny

Z głębokości swojej wołam do siebie, ni nawet echa
bruna trwająca w sobie sama oducha się już śpiewać
Już nigdy nie będę śpiewać, już nigdy nie będę mówić
już nigdy nie będę śpiewać, już nigdy nie będę mówić
Moje pejzaże wewnętrzne mnożą się niezwykle regularnie
niszcząc drobne odrosty, narosła tęskne i miękkie
Kształty zdają się wykrzywiać, układać w drastyczne chichoty
Żadna farba w paletach, żaden pędzel ni szmata, bez podłoża
Maluj się, maluj, bazaltowy wielkoludzie, idą po ciebie
maluj się w ostatnich pejzażach wewnętrznych, bo za chwilę
za chwilę nie będziesz mógł już nic mówić, z bólu układać
Twój język się zmiesza bardzo, język się zmiesza ze wstydu
Ostatnie to płótna, ostatnie obrazy malowane przed śmiercią
gdy drzwi się domkną, ścisną się one wokół ciebie na zawsze
zawiną się wokół, kneblując twe ujścia bramami piekielnymi
porosty będą się już tylko tobą odżywiać i gnuśnić z bólu
będą tęsknić za niemożliwościami, za niespełnieniami słonymi
Dawne figury płyną teraz w koktajlach nieprzebranych
nie mieszają się ze sobą tak, że wyczujesz poszczególne smaki
Masy lodowcowe niosą ze sobą wielkie ilości śmieci i błota
Widzę jeszcze, rozpoznaję cyprysy szeleszczące, ścięte w sokach
Ulice nazwane imionami mych smukłych ofiar skręcają bardziej
Wielkie, puste ruiny zaglądają we mnie ciekawie, szukając nicości
lecz we mnie tylko przepelnienia zakończone moimi porządkami
Żywoć tych materii portretowanych przedłużony przeze mnie
gniją one bez światła, bez wyciągnięcia się i drżenia na wietrze

gniją we mnie, nie znajdując pokoju, karłowacieją, burzą się pianą
Schody w głębinie zapraszają, wiją się, kruszeją pod stopami
W przymkniętych okiennicach płąsa lęk tłusty, wygląda z okna
ogładając mój pejzaż wewnętrzny, wykrzywia mocniej panoramę
Liguryjskie czerwone drogi powinny przecież prowadzić do celu
Wiodą mnie jednak na punkt obserwacyjny, na Punta Corvo
Czerwienie zagubione w błędzie uciekają po bokach
sklepieniami się one zamykają wiecznymi, zasłaniając nieba
zasłaniając nieba nienamalowane w mym pejzażu wewnętrznym

Pieśń trzydziesta druga. Punta Corvo

Sztuczne kwiaty czarnym plastikiem pachnące
schowam się w nich jako bruna i tam będę spijać
z ich rozżarzonych pręcików szafran krokusowy
Stąd będę obserwować panoramiczne niszczenie
Wyrzucają tu mnie padlinożerne, przyglądając się
Biegnę wciąż do tyłu, do tyłu uciekając przed nimi
tam gdzie są czarne wybrzeża i plaże rozszarpane
Dawne ujście rzeki Magry do morza jest wyschnięte
Punta Corvo nad przepaściami, ostatni kawałek ziemi
we wspomnieniu jej pylistości próbuję się zakopać
usypać sobie jakąkolwiek mogiłę, byle jak przykryć
Wleczona na pogubionych szczeblach kości swoich
wznoszę swój wzrok z wysiłkiem nieludzkim
Widzę z daleka miejsce dawnego połączenia wodnego
Koryto rzeki szerokiej wkopane odwrotnie
brzegi zakleszczone dawnymi okowami kalcytu
antykaniony imponujące na tle ciągłego zachodzenia
Zwapnione, zwątpione skały gną się w kierunkach oddolnych
Są prehistoryczne dowody na to, że kiedyś tutaj były granice
Wielkie katastrofy geologiczne oddzieliły tamami ujścia
Rzeka tłusta, kiedyś czerpiąca z morza, miała tu swoją deltę
te małe i większe dopływy miały swe imiona pradawne
Magra zawróciła swój kierunek, rodząc ziarno bolesne
od środka zatamowana, utracona z woli, w gniewie
kanał wyschnięty, w nim tylko szkielety udawały dawny nurt
Jakże to dawne czasy, w których jej dal rozplywała się w toni
Głębokie koryto wskazuje na dawne, odrzucone zależności
Pozostały jednak ślady w dawnych połączeniach wodnych
Teraz sztuczna substancja płynie, lustrami odbija kanciastymi
najtragiczniejsze szczątki po historiach rozsypane pod stoły
Zasłaniam swe oblicza z przerażenia tymi powidokami
Bagna wyrzucające z siebie nieprzetłumaczalne odchody
Nie da się o nich powiedzieć w żadnych językach poplątanych
Nie ma już tłumaczy, żeby tę starożytność zaklętą pojąć
Widzę w ostrości wielkiej wyciągające się plaże w dole
rozgrzane nienawiścią do oświetlenia nawet sztucznego
Szukają ofiar, zazwyczaj spadają one spychane z Punta Corvo
spadają one jak kwiaty wiecznie nieżywe i trwające
na dywany spadają, pod stepujące, pod jaskrawe stopy
tych, którym się udało zbudowanie tamy wiecznej
Odwrócone imiona strumieni, kiedyś wpływających

Dziś kanałami gnilnymi się zwą i ciągle się rozkopują
kosztem nadających się do tego dostatecznie twardych narzędzi
i w wiecznym, przekornym udawaniu swych głębin wabią
A tam jest tylko parę minimetrów płynu, a reszta to szlam
stoi, nic nie wytrąca jego chemii zawiązanej w sobie
Pływają w nich nieżywe istoty zatkałe wiecznym tłuszczem
z przerażeniem obserwujące te dziwne pojemniki od środka
Wiem, że zostaną zrzuciona zaraz pod ich stopy z tej skały
Będę leżeć na plaży wylamana, gnieciona przez ich paradę
Będę leżeć na ich betonach, malowanych emulsją światłoczułą
Misterne to kłamstwo spowodowane odległością, że to nie plaża
w której zanurzasz swój ciężar, w miękkości jej odpoczywasz
To wszystko malarstwo iluzjonistyczne, wrażenie perspektywy
Te odległości też są niewielkie, wszystko ściśnięte w sobie
gnieźdzące i włożące na siebie, i rozpychane ostrymi łokciami
Jak to wszystko może się mieścić w tak małym punkcie?
Jego granice nierozszerzalne, tkane z włóczki ciernistej
Jeszcze wokół tych skorup wydrążonych boleścią i śmiercią
podąża wieczna procesja, pochód z wieloma uczestnikami
dawnymi głowami roztrzaskują się o nisko założone stropy
Rysują kontury, ściągając swym wzrokiem wszystko w pobliżu
wszystkie resztki wyobrażające sobie zbyt wiele
Rozciągane na krosnach niewyobrażalnych barwią sobą tkaninę
Spadam na kawałek mej twarzy, na beton, słyszę już ich tupoty
gęste, zbite w jednorodny pokaz siły, militarnych możliwości
w milionach egzemplarzy powielane, odbijane boleśnie
W kalcytowych zębach kruszą śmietanową porcelanę
z dawnej rodzinnej zastawy wytłukiwanej regularnie

Pieśń trzydziesta trzecia. Procesja

Widzisz, jak z dala posuwa się owe wygniecenie jednolite?
Robótki ręczne, szatańskie puszczanie oczek w szlakach
120 wzorów, by dekorować w procesji sztandary poprzerabiane
po nocach niszczone, w zakładach sztandarów liturgicznych
Nici drogocenne wywlekane, w nowe znaczenia je zaprzatające
Kradzione poduszki, obrazy przemalowywane na inną modłę
Guma spalona z opon zdartych bardziej pod naszymi stopami
Już trzymają wstęgi czarne od proporców wklejone na siłę
Oto występ, oto pokaz największych zbiorów kolekcji prywatnej
oświetlanej spontanicznie żyrandolami z kryształowymi lezkami
Rzeka Magra znowu wypełnia swój sztuczny, betonowy brzeg
Polarna malina na ustach śpiewaczek zgnieciona w mękach
Na dawnych strunach głosowych grają już inni, dostosowując się
Otwarte na rościę złamania kurtynami się kłaniają przed Wijem
Trzaskają nieznanymi instrumentami, ni z dźwięków, ni z nazwy
Trzymają proporce połamane, sklepane klejami kostnymi
Niosą sztandary prześmiewcze na wymiętych kręgosłupach
Tańczą, wykrzywiając swe dusze kolorowe, ludowe, osty
Zakreśla procesja kręgi siedmiokrotnie, zawracając szybko
Należy przecież uzewnętrznić uwielbienie dla Albinosa
zapewne jest on bardziej pociągający w grubych szatach
Oni są z obrazów pociętych, ze słów, ze zdań ścięciem skręcanych.
jeszcze bardziej skołtunione, pełne warkocze wiszą, brzemiennie

Nie chciałbyś ich wziąć w ręce, oceniając ciężar zaraz po śmierci
one z Jego skórą się łączą, zwinięte w sobie cierpienie noszą
Związane są z nim jak gumką do włosów, on ich splót utrzymuje
W klatkach niesione potwory mogą swe dusze pokazywać w procesji
rozciągane przez te, którym zawdzięczają pokusy nieodparte
Wyciągają je teraz jak szarfy czarne w szeregach, szturchając się
każdy chce je przez chwilę ponieść i pochwalić się zdobyczą tłustą
którą można dopasować, uświetniając adorację mistrza ceremonii

To jest ta część procesji, która skręciła w niewłaściwym kierunku
samozwawnie ogłosiła swe centralne uroczystości wokół siebie
Ludowe karykatury wyciągały się w przekłamaniach liturgicznych
Szli pielgrzymujący pod przewodnictwem samego grotowłaza
a uczniowie jego, podczas procesji wykonywali śpiewy orientalne
deklamowali, wygłaszali biblijno-dogmatyczne kwestie, dialogi
Można na nich wiecznie pasożytować, czynić ich sobie poddanymi
Przebierani za aniołów czy świętych, nieśli insygnia królewskie
formowali żywe obrazy z historii potępień, zniszczenia, łamania
Udział w procesji, pełnienie określonej funkcji było powodem bitwy
posiadające imiona grzeszne, walczyły ze sobą zaciekle
Do procesji włączyło się wojsko, ono zawsze wieńczy uroczystość
Wypluta hostia znów stała się waflem o smaku rybnym
Baldachim tkany z włosów arystokratek i urodzonych szlachetnie
wyrwany im siłą, gwałtem zdobywany od tych bóstw wyniosłych
niesiony w szaleńczym tańcu przez sześciu pojawiających się
To wszystko miało monstrancję w czekoladzie rozpuścić
ciągle deformować jej ślady, kształty, dawną pamięć
Te niewypały miały straszyć wybuchami pirotechnicznymi
litanie, aklamacje, psalmy, hymny, antyfony, responsoria niszcząc
tępiąc wszelkie ślady po morskich i podwodnych wędrówkach
Bojówki faszystowskie zadbają o wszelki szczegół obchodów
objiją wszystkich, że jęcząc, będą chórami zastanymi w tłumie
Ze mną leżą inne kwiaty wysuszone pod ich stopami szerokimi
Nie znam ich, lecz wydają się przypominać mój układ dawnych żył
Czarną gerberą jestem teraz, zmiążdżoną przez maskarady
Procesja ich jedyną rozrywką w małym, przyciasnym miasteczku
gdzie miliardy gwiazd giną razem z kwiatami rzuconymi im
przez tych, co zwiędniętymi łodygami ciągną ciężary własne
Mielone kwiaty tysiącrotnie, by zniknął zapach kadzidła świętego
którym kiedyś były napełniane, którym pachniały, kusząc piekło

Pieśń trzydziesta czwarta. Wij

Przed tak strasznym sakramentem padajcie wszyscy wraz
Wije się ten najdłuższy, ściągając do siebie wszelkie prucia
Wszelkie zło mu się przynależy w medalach właściwie
osnową to jego trzonu, ciągle snującego się wokół swej osi
Straszliwe to jedwabniki snują jego zapętlenia wygodne
Ciągle się nimi obwija, by swą dawną tuszę odzyskać
Ściąga ze świata włóczki wielobarwne, posiadające grubość
siniacząc nasze tyłki, krwotokami nadziewając pożegnania
Ma w posiadaniu wielkie skarby i konta multiplikujące się
Gardząc wszystkimi, wychodzi z torebką, w której ma złoto
w kieszonkach najdrobniejszych kradzieże dawne

Wije się, wije, ściągając swe fałdy po dawnym duchu
Teraz zbiera i zmiata wszystko skrywane i grzebie w tym
z zegarmistrzowską precyzją wydłubuje z nich, chrupie
Jego pusta twarz odbija tylko najstraszniejsze wizerunki
jest wśród nich cała galeria postaci, gestów do przymierzenia
Wielkie wypukłe lustro wkuwane w niego, błyszczy innymi
Wielkie cielsko jaka futrzanego z soplami po bokach nadciąga
Z daleka ściąga najstraszniejsze filmy wideo, oparte na faktach
Chce każde sekundy rozciągać w nieskończoność skończoność
Wygrzebany wędruje ciągle przez świat, posyłając mrówki
Zmielony chochoł nadciąga burzami, krzykami w wylądowaniach
Diagonale go zapowiadają w swych złamaniach i zatraceniach
kierunki błędnie wyznaczone po to, by wpaść w doły
Słyszysz, jak szoruje swymi stopami, płaty skóry opadają
Wielość jego naskórków niezmierna, w głąb tylko szelesty
Pozostawia po sobie zawsze te same ślady pachnące utwardzaczem
Zbija zeszpecone, dawne piękności, twarze podrzuczone mu pod
Jego rozpacz skryta pod głębokimi szatami, szatanami narzuconymi
Pewnie najlepsi krawcy zszywają mu te silikonowe odlewy cierpienia
w jedne masywne, kinetyczne stroiki, brzęczące wokół jak kastaniety
Co za zręczność ciągłego przeskakiwania wobec regularnej krytyki
to chyba jednak są ruchy w tańce zakluczone, a choreografia tajemna
Bogactwo niezliczone obciąża jego tren ciągle gubiący się, zjadający się
W koszykach z supermarketów mu przywożą nowe ciężary z karmelu
ciągle w nowe formy roztapiane na podwieczorek dla kolegów
na posiedzenia rady zarządu spółek z ograniczoną odpowiedzialnością
gdzie rozsiada się w fotelach zestawionych z ławek kościelnych
Drzwi dwuskrzydłowe trzeba poszerzać dla niego na trzy skrzydła
Asystentka jego, wielka nierządnicą — ma napisane na wizytówce
Wszystkie narzędzia biurowe drżą, zwiastując nadchodzenie
dusze skulone jeszcze bardziej odwracają się od niego
szepcząc zapomniane paciorki, na które za późno w środku nocy gęstej
Omota wszystko swą architekturą z najtańszej blachy falistej
skręcane rdzewiejącymi śrubami deformującymi do oporu
Witaj nam, wielce nieurodzajny, skradający się powłóczyście
w najgłębszych jaskiniach zdobywałeś swe liczne blizny
lecz wśród brudu i futer zdzieranych masz tylko tanie drobiazgi
Oto śnieżne rękawiczki na przydługie palce, uszyte na zamówienie
Śnieżne uśmiechy, które jak guziki trzymają tłuste warstwy ze sobą
zwijają się ciągle, utrudniając jego chód, czyniąc go strojnym
Któż odpowiednio przywita takiego niespodziewanego gościa?
Bajaderowy jego bałagan, zalewany wielokrotnie Cointreau
w końcu jest on wybitnym specjalistą od organizacji tego typu eventów
W scenografiach piekielnych cateringi z jego łojów odzyskiwanych
w formie koreczków podawane, szczerze się można nimi zatykać na zawsze
Niewierni słudzy w gnilnych wieńcach, zabierający sobie jego skrawki
łamią się nimi jak opłatkami, z jego skór węzowych, sezonowych
wkładają je potem do wisiorków i niosą jak medaliki bluźniercze
Przed tak strasznym sakramentem padajcie wszyscy wraz
marszcząc swe twarze w loki na podobieństwo do splątanego sobą
splątanego swymi niezwykle skomplikowanymi fryzurami
kształty wieży Babel, murów dzielących, krat więziennych układanych
Solidne są te sztuczne włosia, bardziej wytrzymałe niż naturalne
Przesuwając się prawie majestatyczne, drąży za sobą koryto rzeki
w której morskie tętniło życie, które zmarło wskutek oszustwa
i wycieku ropy skrytej pod jego powiekami przydługimi

On spowodował katastrofy tankowców, dryfujących kiedyś
żeglowały po morzu jako możliwe li tylko ładownie nieoczone
Z ich czarnych dziur wylały się nieczystości na odcięte tereny
po których Wij przechadza się jak w dawnym raju, podziwiając się
ciągle od nowa podziwiając swój wlokący się czarny masyw górski
Spod T-shirtu wychodzi mu kark owłosiony krecim futrem
woskowanym wielokrotnie, wielostronnie

Pieśń trzydziesta piąta. Pieśń Wija

chóralnie ludzkim głosem

Padnijcie na kolana, pozdrówcie z piekła Pana, w płasach
Z tłustą falą me ćwierkanie zalewa wasze gardła pąsowe
Czyż ktoś jest większy z was ode mnie, niech teraz wystąpi
Wszystkie dusze wasze nie potrafią pęzać tak jak ja, uroczco
Pan wielkiego majestatu, król nad króle wasze, nad królowe
Na wszystkich scenach świata mam przystawione mikrofony
wzbudzając tłumy do pieśni wojennych oraz ekstatycznych
Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy spragnieni mych gron jesteście
ja was przyjmę i dam wam władzę na ziemi, nad latyfundiami
nie wymagając od was żadnych męczeńskich gimnastyk, rozdaję
Chcę zarobaczyć te wasze mleczne spojrzenie, różowe policzki
zanim poznacie mą wijącą się naturę, opisującą się na sobie
Pulchne cherubiny ludzkie, zniszczę te nóżki przebierane
W czerniach, szarościach lub tęczach barwnych, przyjdę do was
Znam ja te wszystkie wyrażenia nagradzające i usypiające
aż raz niespodziewanie zdarzy się wam śmierć jak deszczowa pora
Posypani proszkiem do pieczenia wzrośnięcie wysoko, potem w dół
strzepnę te wasze sztucznie wyciągnięcia, och, zakalcami będziecie
Podziwiajcie, jakże wielką nienawiścią was darzę w systemie ratalnym
Ja także, jak bóg, rozlewam się, żerując na waszym rozgniecieniu
Na waszych zemdlałych, zaśluzionych pyskach karpioowych składam całusy
szukające powietrza, łapie rytmicznie śmierć w swe oskrzela płaskie
Pan wielkiego majestatu głosi dziś całemu światu śmierć
W mych ustach wieczna wzgarda, a w środku lepiej się nie pytać
Lepiej o to nie pytać mych ministrantów i padlinożernych dostojników
Oni nawet nie podejrzewają, z jakich głębokości nigdy nie zawołam
tylko antypsalmi wyspiewuję, bawiąc się ich odwracaniem
Widocznie jestem nowym typem psalmisty, Dawida charczącego
wzbudzając w sobie Saula gniewnego, niszczącego instrumenty
Śpiewam po to, by niweczyć śpiewanie, to taka błyskotliwa gra z poezją
Któż za to mi wręczy nagrody doroczne z okazji dożynek wojennych?
Któż mi wypisze dyplomy uznania dla mych innowacyjnych rozwiązań?
Cóż mi dacie na pamiątkę waszej śmierci, wazoni kryształowe
bombonierki zapakowane w wasze nekrologi ze wstępami
wieczny odpoczynek racz mu dać, czarny Panie, będziecie śpiewać?
Sami wbiegacie w me pachy kudłate, uciekając od Niego
Poczęstuję się waszymi bombonierkami, zjadając wszystko
i was
Oto królestwo uczynione na znak rozliczenia administracyjnego
Jaskinia Sezama, gdzie tysiące rozbójników ciągle się tutaj chroni
Głazy-płazy pilnują wejścia do tego pałacu, tylko ja znam hasło
Na hasło te uchylają się szczeliny i można skraść coś z ziemi znów
porywać was do worków jutowych, przewozić nocami zakłętymi

Przed oblicze przychodźcie sami, szepcząc w lęku swe imiona dawne
nadawał wam inny te imiona, emanuele męskie, nutelle żeńskie
Ja was wytapiam, na me płaszcz, na jesionki w słodkich odcieniach
potem przejdę się w nich po centrach handlowych, powodując zazdrość
Po centrach świata przechadzam się, dzieląc was
jaśnie oświecony, faszystowski gla-mór
prawie morelowy

Pieśń trzydziesta szósta. Pieśń Wija do bruny

solo

A któż tu leży pod naszymi stopami? Tak, tak, już cię rozpoznaję
Czyż to nie jest brudna bruna i cóż, me dziecko, powiesz mi teraz?
Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie bardzo nie żałuję?
Kłęknij, szepcz, szepcz mi, coś złego uczyniła, o niebiańska córko?
Przybliź się do mnie, niechże cię zobaczę, niech cię trochę poznam
Wezmę cię na ręce i rozgrzebię od środka, zobaczymy, cóż jest
Odkryjmy jeszcze, cóż za pozostałości masz w swym gardle
w śladach twych dawnych oczu rozczytuję pokrewieństwa inne
skryły się one za bruną, za tym kawałkiem rozpryśniętym w dal
Więc jak to tam było z tym pryzmatem na początku, gdzie reszta
czyżby się dostały w szpary wiekuiste inne niż nasze arkady?
Dawna bruna uciekała przed oblubieńcem w drodze na Miąskowo
najmocniej odpryśnięta, zawlekła się do grobowca rodzinnego
ponieważ za życia była pieprzniętą królową, dzierżyła władzę
to teraz trzeba ją w odpowiednie szaty ubrać, w płaszcz purpurowe
Ten zestaw z płaszczem udręczonym podoba mi się, mój ulubiony
Zawijam cię jak ochłap po reszcie, która jeszcze pachnie w tobie
Nawet nie wiesz, jak żalosne jest używanie tak słabego języka pieśni
Gdzież jest twoje rodzeństwo, gdzież są Blu i Bianca skruszone?
Dlaczego nie przyprowadziłaś ich do mnie, dlaczego nie oszukałaś ich
wabikami, drzwiami wiecznie uchylonymi do mych komnat z ciepłem?
Och, jakże ja nienawidzę tych kolorowych kształtów ludzkich główek
Błękitne, białe i brunatne wzory podzielone wobec niego, no, no, no
A gdzież jest ta nasza piejąca pieśni, ja także chciałbym się jej ukłonić?
Została mi z polowania tylko bruna, już ją odpowiednio nauczę
Chce śpiewać, niech śpiewa, oto włożę w jej usta wielkie ciężary
Po cóż mi taka gerbera pod me łóżysko, na co mi ten śmieć brunatny?
Widzicie, jak muszę wachlować się cytatami, jak uczony w piśmie
Myślałaś, że nie dostrzegę ułamania po innych w tobie?
Będziesz więc potrójnie po nieobecnych częściach cierpieć
jeżeli możliwe jest trzykrotnej mocniej cierpieć tutaj
a tu mi właśnie znajomy podpowiada, że jest dawka trzykrotna
czeka właśnie na ciebie, oczywiście, że jest możliwe dla ciebie
wszystko jest możliwe, nie ma rzeczy niemożliwych dla mnie
doprawdy, co za brawura czynów, do prawdy od prawdy
Jak widzisz, mam zacięcie do muzyki i słowa, niezwykle uzdolniony
Towarzyszy mi ciągle nadmiar kropek zakańczających te białe wiersze
Pozwól więc, że zlepnię cię mocno w zakończenie interpunkcyjne
zatrzasnę cię w tobie z okazji tego niespodziewanego finału
ciągle zakańczając się, pozostaniesz na zawsze znakiem zamazanym

jak je połączyć ornamentami w czytelny rysunek?
Poprośmy, może ktoś z widowni nam pomoże
może komuś uda się to, uda się to uczynić ręcznie
zgadnąć cokolwiek z domniemanego rysunku
Trzy szkice w teczkach woskowych noszę
spoglądam sobie na nie czasem nerwowo
Próbowałam łączyć te paprochy, te zabrudzenia
w solidne całości, ale umyka wszystko śpiesznie
Tych gwiazd w żadne gwiazdozbiory nie złożysz
umieralność ich największa w przestrzeniach
Z trzecim rysunkiem były same problemy
wpierw został zgnieciony, potem zapomniany
Kryję w spoconych dłoniach jego przechowywanie
Oto rysunek niemożliwy, lękliwie uciekający
uciekający samochodami dalekobieżnymi w dal
Rysunek rwie się, napinany do granic nieprzekraczalnych
lepi się do wszystkiego, pieczętuje swoją obecnością
Me pisaki są tu porzucone, wielki śmietnik ustników
W ogniu pieśni zakrywają swe śpiewne oblicza przed sobą
wobec tego brunatnego nowotworu tu ulokowanego
Paczki dobrze sklezione dochodzą do piekła w trzy dni
Mamo, prześlij mi, proszę, te ciepłe kapcie uszyte z wełny
do grobu prześlij mi je, bym mogła szurać po parkietach
woskowanych na wysoki połysk z okazji śmierci wiecznej
Rysowanie rozpada się mi w rękach, one też się rozpadają
Nic tu nie bywa odcinkami, odległości uciekły zawstydyzone
Już w sumie próbowałam ciężki rysunek nanosić na ziemię
za pomocą schodołazu, chodzików dziecięcych, starych
za pomocą swych niewidocznych podpórek szkicować jakiś kres
wszystkie były pokryte białym aksamitem i czekoladą
tym bardziej były luksusowymi materiałami plastycznymi
Patrząc przez ich nieszczelne struktury na mą słabość
na moje potykanie się, czołganie ze wzrokiem ku ziemi
Chodzę z głową gniesioną do dołu, przyglądając się wykopom
Te linie prowadzone na końce jak zagony gnilne, zmrożone
rytmicznie i równo rozkopywane ze znikomymi śladami pulchności
Zagony rytmiczne umykają teraz już pomału, w zaciemnieniu
zachodzą z blaskiem słońc schowanych za horyzontami
liniami się w nas wrysowują, dzieląc nas ozdobić w okolicach zera

Pieśń trzydziesta dziewiąta. Domknie- cie Piekła

Zasklepiane odwierty kiedyś będą powłokami niebieskimi
Nigdy nie roztopi piekła morska fala, nie zmyje jej gęstości
W naszym DNA same dna stukające posadzkami śliskimi
Rozwleczeni jesteśmy między smakiem curry a rozmarynem
peklowani suszonymi psalmami, one ułatwiają trawienie nasze
Potępienie dusz schowanych pod kamieniem zostanie na koniec
zakleszczą się wtedy wszystkie zamki samozatraskujące się
Gdzieś w bielach będzie więc krążyć ziarno maku słodkiego
ziarno piasku wulkanicznego z lawy gniewu spływającego
Ziemia rozpadnie się na brzegi, połamana różnie wobec morza

Pozostaną również odpryski ostre, odrzucone przez falochrony
Rzeźby dekoracyjne w mial się roztopią, kolory spłowieją
ustąpią kłaniając się niewyraźalnemu, nadchodzącemu
Będą mu tańczyć zupełnie nowe tańce, on je nauczy
Wszelkie cukry roślinne i zwierzęce zostaną skarmelizowane
Świat znów pachnieć będzie nowością, jeszcze opakowaniem
Będziemy podziwiać pieśni tak piękne, że dzięki nim nie będziemy
Wtuleni w ich kołyszące łona, oddychając sobą wzajemnie
Uszczelnione piekło sklepi swe dziury, nie ucieknie żadne ciepło
Już nie będzie męczenników, jak warzyw na rynku wildeckim
Nie potrzeba będzie poświęcających się ludzi, jak selerów
Leżą oni wygrzebani z ziemi, zmarznięci z przylepioną ceną
ceną zawsze w jaskrawym kolorze zdradzającą ich zemdlony odcień
Płacz zostanie zniweczony płukanką z leczniczych ziół święconych
Znów spojrzymy na siebie, nie patrząc na naszą nagość niezgodną
na nadrzędność zdań wielokrotnie złożonych, na ich podrzędność
Rozbiory gramatyczne światów prawidłowo ułożonych w bukietiki
rozwiąże je cicho spokojny rytm przyływu, którego nikt nie zauważy
Niektórzy, zapomniani prorocy jedzący szarańcze jak chipsy, zrozumieją
Będą podnosić nieco swe głosy i narażać się na śmieszność wobec tłumu
Nikt nie uwierzy im w ich śmierzące morzem słowniki
w kieszeniach mają owoce morza, ostatnie daniny na ołtarz ofiarny
Będą wyrzucani poza bramy miasta, a tam zajmą się hodowlą
agroturystyką z możliwością kąpeli w słonej wodzie
w parkach jordanowskich oblewanie się chrzcielną wodą
Wokół nich zwierzęta kręcące się, spokojne ich obecnością
wtulone w siebie, cicho pomrukujące ze szczęścia
Nie spotka ich wstyd ukryty, głowy zanurzać będą w miskach
W tej wodzie nie słycać odczytów i prelekcji dydaktycznych
tylko szum jednostajnie potencjalny w dźwięki dochodzące
Kwitnięcie inne nastąpi, nieskalanymi pąkami będziemy
Wszyscy święci wtedy powiedzą: no nareszcie się kończy świat
całe szczęście, że kończy się świat przed filmem o 20.00
Zalóżmy więc okulary przeciwsłoneczne, teraz porażeni będziemy
te światła nawigacyjne mają niezwykle silne, krągłe pola rażeń
Finalnie podnoszę wzrok ponad siebie, wspierając się na łokciach
Znów te refleksy, wyznaczające mi początek, pojawiają się w kątach
te światła zwiastują zagaszanie mych śpiewów przed porankiem
Jutrznia już niedługo, dnieje mleczne światło w ciemnych ujściach
gdy przebudzę się, w mych ustach pozostanie kwas mlekowy po śnie
wiecznym

Pieśń czterdziesta. Końce końców

Chodźcie do mnie wilki szaleńczo szare
nakarmię was pomyjami po ucztach trzech
Wpychajcie w swe pustki wielkie kęsy
ja będę was głaskać, korzystając z nieuwagi
Na koniec zawsze jest najwięcej jedzenia
na mych obrusach tak wiele pozostaje
Przyjdźcie do tej, co ciągle się rozdrapuje
Rozdrapuje swe zrastające się usta do śpiewu
z nieśmiałości zrastające się, z lęku, z pychy
Oto przechodziłam między podwojami tajnymi

twarz może przez to bardziej blada i wysuszona
Teraz unikam swych odbić w szklach dekoracyjnych
w ich połamanych ornamentach widzę potępienie
Oblubieniec za górami i lasami brzoźowymi
a ja palę papierosy, stojąc znów na trzech nogach
Stoję w oknie nad brzegiem morza, wypatrując powrotu
Wszystkie trzy nogi już mi drętwieją przez me pozowanie
Ciężarna jestem wobec pieśni pęczniejących w przehyku
Po cóż przechodzić szlakami mglistymi przez lasy?
Po cóż przechodzić szlakami mglistymi przez siebie?
W pojedynku pojedynczo ciągle jesteśmy zagubieni
między kopytami porzucamy się na chwilę, na momenty
Świadoma relacji barwnych i praw kontrastów jestem
ciągle rozstrzygana, rozstrzygająca się w wielobarwności
Przebiegając przez przebieralnie mnogie, w pędzie pochwyć
w pędzie pochwyć werdykty w kopertach, skradnę je
W najświętsze wedrę się, ukradnę te werdykty potępienia
Mój śliniak już cały mokry od opowieści uciekających
Pogubiłam me wdzięczne diademy, dostojne dodatki
całą biżuterię wyjściową na błędzenia ślepe
Czyż nie jestem piękniejsza, bo potłuczona i naga?
Wytańczę sobie kształt grobu
będę w nim mogła się pomieścić z moimi zapasami
ze zbiorami słów i obrazów zupełnie bezcennych
Nie kładź więc na moje oczy monet dla przewoźnika
dla tego niewidocznego taksówkarza z czarnym uśmiechem
Chomikowe policzki napełnię pieśniami, będę je jeść
gdy chlebak pozostanie pusty i bidony wystygną
Wtedy złożę z nich kadzidło, złoto, mirrę dla przestrzeni
dla przestrzeni pytających, zostających w wolnym oddechu
Teraz szukam swego podobieństwa znów, lecz trzy echa słyszę
milkną z wolna dźwięki wysokie, niskie
wyskakują jeszcze przede mną, bym sobie laurki sama sprawiła
Laury pachnące na wieczną pamiątkę śmierci moich potakujących
Potakujące śmierci zgadzające się na datę i godzinę zgonu
Ja, Lacrimosa wątła, wychodzę więc z mroku głębokiego
może jakaś barwa wychyli mój kształt z czerni i zabierze mnie
w kolejne długie historie, ciągle wijące się fraktalami, winem
Pomyśl, jakże przedziwne są smaki tych koncentratów
koncentratów z niemotyli z pierwszego, z drugiego tłoczenia
które wylewają się, burzą, rozwalają wszelkie pojemniki
do przechowywania naczynia rozwalone na trzy części
Rozwalają się porcelany z dożywotnimi gwarancjami trwałości
Jakże to wszystko niepraktyczne i najpiękniej niedokładne
lepienie z niebytów piętujących się, przy bytach rozrzuconych
Kimże jestem teraz, gdy siedzę na kanapie, spijając ostatnie nuty
kokosowym starcem, karuzelą made in Purgatorium malowaną?
Może jestem w brunatnym wbiciu ciast ciągle się przypalających?
Segregując odpady do trzech koszyków, ciągle przymrużam oczy
Mrużę je, by być sędzią zaprawdę sprawiedliwą i litościwą
Jakże niepurpurowe są me szaty, lekka biel łąsi się do mnie
Wszystko znów zabiorę do siebie, zlepię grzbiet zbioru pieśni
Musi być on tłusty, chroniący przed wiecznością uczulającą
mało ciągle na jej temat w miarę szczegółowych przewodników
Nikt nie wskaże nam odpowiednich linii autobusowych, nazw ulic
Nie przeczytamy na miękkich okładkach, jakie są ich przywitania

jak należy mówić i jakie gesty wykonać, nie obrażając ich?
Nieśmiało spoglądam, wychylam się na palcach, chcąc dojrzeć więcej
bujam się w mej niepewności, pewności dalszych panoram
bujam się w sobie, balansując, przekornie wychylając się na boki
bujam się, wyśpiewując pieśni poranne, zlepione jeszcze z nocą
Wtedy me oblicze znów się rozjaśni, znów rozpoznam kształty
które umiem dobrze nazywać po polsku i włosku i je rysować
Potrafię je jeszcze narysować swym spojrzeniem, wędnącym
Rebusy przywrócić swą rozpoznawalną treść schowaną
Roślinność na parapetach systematycznie odżyje
całkowicie zdziwiona moją pamięcią i troską nagłą
W głębokich tłach scenografii będę jednak dostrzegać te niebyty
wycofają się, ustępując temu imiennemu, foremnemu
Ruszę na zamorskie wycieczki przepełniona ekwipunkiem
Zatęsknię do brzegów oddalonych i pójdę na plażę się skremować
Chłodne rozmycie opłucze mnie i pochwyty mnie dla siebie
Teraz rozrzucam wam kropki na końcu jak confetti czarne
Cieszymy się więc, posypujemy nimi na zakończenie piekła
tam tkwią wszystkie zakończenia, same końce właśnie tam
spalone ich lonty, kruszące się ciągle na obrusach odświętnych
plączliwy wosk zaświadcza o ich winie i wysokim płomieniu
nie pozwoli im na jakąkolwiek restaurację dawnych pomników
Znów zęby się pokrywają zniszczeniem wyśpiewanym
Trudny jest ten śpiew odepchnięty, klóćący się ze sobą jednocześnie
śpiewać już nie chcę tak straszliwego udręczenia wypluwanego
Zamykam piec nastawiany na temperaturę ciał ich własnych
Odchodzę, łapiąc swój oddech znów w naturalną rytmikę
Zamorskie krainy wabią mnie swymi smakami nieznanymi
Powinam się więc pożegnać ze wszystkim słowami znajomego
Arriverderci, brunatni z chwilowymi przebarwieniami ku Bogu
Kazalnicę moją żelazną ominęłam z daleka, nie wznosząc głosu ponad
gdyż moja brunatność oczywista, zęby połamane na pieśniach
co je licznie przed wami wywlekałam, ich kwiecistości zawile
Moja ucieczka przed detergentem zaczyna się dopiero
Znów rozgorzeje bitwa na śmierć, na życie, o światłocienie
bitwa o przynależność do zbiorów, określających się wciąż na nowo
Układy współrzędnych z osiami, z ościami, on znów będzie zerem
Podmywa stopy, jasność gruntu i uzębienia splukuje
Przedostaje się tajemnie przez przerwy między wyrazami
aby podczas nieuwagi głaskać mój biało-czarny grzbiet.
Nadchodź więc i zakończ mnie, zakończ mnie sobą
wyznacz mi wielość nowych początków, na końcu.

Pieśń ostatnia. Czarne confetti

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rolando-biala-ksiazka-pieklo>

Tekst opracowany na podstawie: Bianka Rolando, Biała księżka, Wydawnictwo Święty Wojciech, Poznań 2009.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: [steve p2008@Flickr](https://www.flickr.com/photos/steve_p2008/), CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).